

Tréverec Gwen

Rosalie

1

Przez cały rok — a zwłaszcza podczas długich ciepłych wieczorów — w Nicei można spotkać-przeróżne damy, na ogół mocno już dojrzałe, bardzo zadbane, eleganckie, częstokroć obwieszane biżuterią, które snują się nostalgicznie po Promenade des Anglais.

Byłby jednak w błędzie ktoś, kto by je uznał za profesjonalistki miłosnego fachu: są to po prostu osoby cokolwiek samotne i poszukujące towarzystwa. Na jeden wieczór lub na jeden sezon (rzadko na całe życie).

Towarzystwo rodzaju męskiego zda się tu być w wielkiej cenie. Z tym, że należałoby jeszcze wyróżnić pewne niuanse, jako że z lekka zniewieściały blondynek zyska sobie z całą pewnością o wiele większe powodzenie u tych serc (ach, tych serc!) do wzięcia, niż jacyś tam barbarzyńcy okryci gęstym zarostem czy wręcz istic zbójeckimi tatużami.

I właśnie ów fakt stanowi podstawę mego zarabiania na życie. Ta, do której podszedłem owego wieczoru, widziana od tyłu wyglądała na jakieś czterdzieści osiem lat. Stała wsparta o balustradę otaczającą nadmorski taras i z rozmarzeniem śledziła błyski latarni morskiej, co siedem i co jedenaście sekund igrające wśród agatu fal.

Przystanąłem tuż obok wspierając się na łokciach.

— Promenada jest piękna oświadczyłem po upływie jednej albo dwóch minut.

— Bardzo piękna. .

Jej głos był raczej poważny, ale dość muzykalny w brzmieniu. Zapewne nie pali. Profil zdradzał, iż ma o sześć lub siedem lat więcej, niż by można wnioskować w oparciu o zarys jej pleców.

A potem dodałem, jakby od niechcienia:

— Co słyhać?

— Nic. Życie w Nicei jest płaskie aż po sam horyzont. Nie zauważył pan tego?

— Mój Boże, proszę pani, jeżeli chleb powszedni nie przestaje być nigdy cotygodniowym problemem, człowiek uważa, że życie ma aż nadto wiele rozpadlin i garbów.

— To widać — powiedziała.

Odwróciła się w moją stronę i spojrzała na mnie badawczo. Patrząc na nią z tej, pozycji dałbym jej teraz raczej sześćdziesiątkę, niż pięćdziesiąt sześć lat. Gdyż w istocie miała sześćdziesiątkę, ot, taką elegancką, solidną, niemalże pełną wyższości.

— A chciałby pan zdobyć trochę pieniędzy?

— Doprawdy, proszę pani, wolałbym mieć ich dużo.

i gotów jestem rozpatrzyć wszelkie rozsądne propozycje.

— Wydaje mi się pan dość inteligentny. I raczej . zadbany. Czy nie przeraża pana dotrzymanie towarzystwa starszej pani?

Odparłem więc, nieco już poirytowany:

— Jeżeli i ona jest schludna, a nadto inteligentna, będę się czuł wprost wybrańcem losu.

Odpowiedziała dopiero po chwili milczenia:

— Chciałabym gdzieś przysiąść i wypić filiżankę herbaty. Czy zechce mi pan towarzyszyć do baru „Negres-co”? To ledwie dwa kroki stąd.

— Mój Boże, czy jest pani aby pewna, że jestem stosownie odziany jak na tamten lokal?

— Pański wygląd w zupełności *mi* odpowiada, a więc i tam ci nie powinni mieć zastrzeżeń. Zresztą, jeśli pan woli, możemy pójść na taras „Rotundy”.

— A więc idę z panią.

Wspomniany taras był niemal zatłoczony. Znaleźliśmy stolik tużobok laurowego żywopłotu, ale bliskość sąsiadów i tak nie'pozwalala na jakąś poważniejszą rozmowę.

Moja towarzyszka zamówiła czarną herbatę, a ja gin-fizz, ten wyborny napój, który kapitan Cap zwykł określać wdzięcznym mianem John Collins.

Wymieniliśmy zaledwie w miarę banalne uwagi na temat suszy i pięknej pogody, mówiliśmy o dumach, które w lipcu zapewne będą jeszcze większe, o skażeniu powietrza, wyborze Jean-Louis Curtisa na członka Akademii Francuskiej i o nowym renault 5 turbo (który ona właśnie sobie zafundowała).

Było jednakowoż jasne, iż zostałem poddany starannym oględzinom. Toteż gdy powiedziała:

— "Czy nie zechciałby pan u mnie wypić kieliszka kseresu? Mam znakomity, a mieszkam o dwa kroki stąd... i gdy ja z kolei odparłem:

— Z całą przyjemnością, jeżeli tylko pani to odpowiada — wyjąłem portfel i przywołałem kelnera.

— Nie. To do mnie należy — stwierdziła 'wówczas. Uśmiechnąłem się tylko.

— Nigdy przy ludziach, proszę pani. Odwzajemniła uśmiech.

— Jak pan sobie życzy — szepnęła. Zapłaciłem. Ona wstała. Wyszliśmy.

— Jak pan ma na imię? — zapytała po paru krokach.

— Gwen. Albo raczej Gwennie. Ale pani będzie mi mogła nadać jakieś inne imię, jeżeli akurat to się pani nie spodoba.

Subtelność zawarta w owym czasie przyszłym nie uszła uwagi damy.

— Gwennie mi odpowiada. Ja mam na imię Rosalie.

— Czy mogę zatem pani służyć ramieniem, Rosalie? Czasami chodzę zbyt szybko, a bardzo nie lubię wlec dam za sobą.

Ładnie pachniała. Były to chyba perfumy „Dioris-simo”. Mieszkała przy bulwarze Victora Hugo, w domu do dziś pamiętającym splendor lat 1895-1905. Dysponowała mieszkaniem, w którym naliczyłem trzy pokoje (plus przedpokój), ale musiało ich tam być sześć. Wystrój wnętrza i umeblowanie sugerowały dochody rzędu siedmiuset lub ośmiuset tysięcy franków rocznie.

Rosalie usadowiła mnie w bawialni, której balkon wychodził na wewnętrzny ogród, gdzie rosły eukaliptusy oraz palmy, i pozostawiła mnie na kilka minut samego. Był tam kominek, niskie, lakierowane na czarno, obite skórą fotele i szafka na trunki, której oszklone drzwi pozwalały dostrzec imponujący rząd butelek.

Kiedy wróciła, stwierdziłem, że poprawiła szminką linię warg i przypudrowała policzki: Dzięki temu zdawała się być niemal ładna.

Jej sherry było całkiem niezłe — jak na mój gust trochę za mało schłodzone — ale nie miałem śmiałości dorzucić doń lodu.

— Czego mogę od pana oczekiwać? — zapytała powoli, kiedy już trzymaliśmy kieliszki w dłoniach.

— To zależy jedynie od pani oczekiwań — odparowałem.

Zastanowiła się przez chwilę.

— Moje życie uczuciowe było raczej pozbawione przyjemnych doznań. Nie, niech się pan nie obawia, nie mam zamiaru o nim panu opowiadać; w każdym razie... nie dzisiaj. Natomiast mogę panu wyznać, że mój małżonek, choć zabezpieczył mi starość, w ogóle nie przejmował się moją młodością. Zmarł trzy lata temu. Ksiądz, który troszczył się o jego duszę, przypuszcza, że wywiązał się z tego ostatecznego obowiązku jak na doskonałego chrześcijanina przystało. Tym lepiej: wolę, żeby przebywał w niebie. Jest to miejsce, skąd rzadko się wychodzi, a więc nie sposób prześladować tych, których pozostawiło się już za sobą.

Umilkła. Miała dość zabawny sposób mówienia. Czyżby to był mój wyjątkowo szczęśliwy dzień?

— Bieszę mi wybaczyć — powiedziałem uprzejmie. — Ale może zechciałaby pani powrócić do mnie i do tej roli, jaką miałbym odegrać w pani życiu lub tylko w jego fragmencie.

— Fragmentcie? Może, faktycznie ma pan rację. Gdyż, można by traktować nasze życie jako poukładane obok siebie fragmenty. Nie byłoby tam wprawdzie miejsca na metafizykę, ale na spokój ducha z całą pewnością tak...

Opróżniła swój kieliszek sherry i naląła sobie drugi.

— Chce pan jeszcze? — zapytała.

— Nie tak szybko. Dziękuję. Nie zdążyłem jeszcze wypić pierwszego.

---Proszę się nie kępować.

Zamyśliła się na dłuższą chwilę.

— Czy naprawdę lubi pan kobiety?

— Naturalnie, proszę pani. A z jakiejż to przyczyny mogłaby pani uważać, że jest inaczej?

— Sama nie wiem... Może z racji pańskiego ogólnego wyglądu...

— A więc sądzi pani, że nie jestem dostatecznie...

— Ależ skąd. Uważam, że jest pan dokładnie w moim typie. Nie cierpię muskularnych drabów. Ale mam też świadomość, że mężczyznom o pańskim wyglądzie daleko jednak do niewinności.

— I ma pani rację. Widzi pani, większość dam poszukujących żigolaka myśli podobnie jakk pani: wolą osobników wiotkich, lekkomyślnych i cokolwiek naiwnych. Czyżby mi zatem pani wypominała to, co w efekcie jest jakby moim strojem roboczym?

— Nie mam panu nic do zarzucenia, mój młodzieńcze. Chcę się tylko wszystkiego dowiedzieć. A Więc stawiam jeszcze raz dopiero co zadane pytanie: Czego mogę po panu oczekiwać?

Z kolei ja opróżniłem swój kieliszek i napełniłem go

ponownie, nie mając na to wcale specjalnej ochoty, lecz po prostu by zyskać na czasie.

— Dobrze — stwierdziłem na końcu. — Bądźmy szczerzy, Rosalie. Spróbuję pani na to jakoś odpowiedzieć. Ale ja także chcę pani zadać kilka pytań. I, być może, charakter moich odpowiedzi zależeć będzie od tego, co od pani usłyszę.

— Słucham pana.

— Powiem pani najsampierw, że jestem amatorem czynienia użytku z języka. Jeden z moich przyjaciół, który jest psychoterapeutą, powiedział mi, że fakt ten zapewne wynika z przedwczesnego odstawienia mnie od piersi. Nic mi o tym jednak nie wiadomo. Bowiem gdy przedstawiono mi tę sugestię, moja matka nie mogła już ani jej potwierdzić, ani też zaprzeczyć. Lecz mówiąc „amatorem”, rozmijam się z prawdą, gdyż powinienem raczej powiedzieć „specjalistą”. I oto na wstępie zapytam: Czy pani w tym gustuje? Proszę nie odpowiadać natychmiast, jako że drugie pytanie jest ściśle związane z pierwszym. Oto ono: czy ma pani zgrabne piersi? Jednym słowem, zdolne wzbudzić pożądanie? I wreszcie pytanie trzecie i ostatnie: Jak się przedstawia pani łechtaczka? Czy jest ona niewielka, czy raczej wydatna? Czy nabrzmiewa rozkosznie, kiedy się ją pieści? I czy dostarcza to pani przyjemności, czy też przeciwnie, woli pani solidną pracę kominiarską? Którą, rzecz jasna, również potrafię wykonywać.

— Jeżeli zaschło panu w ustach, po pięknej przemowie, Gwennie, to proszę sobie nalać jeszcze sherry.

— Zrobiłbym to chętnie, lecz sherry zwiększa jeszcze moje pragnienie. Czy nie miałaby pani przypadkiem odrobiny szkockiej z całym oceanem perriera?

— Sądzę, że tak. Perrier powinien być w lodówce w kuchni. Czy obsłuży się pan sam? W tym czasie ja sięgnę po J & B do moich osobistych rezerw.

Rzecz jasna, posłuchałem i uczyniłem jeszcze jeden krok naprzód: ten, który prowadził do lodówki.

Kiedy wróciłem, Rosalie napełniła sobie trzeci kieliszek sherry. Przechodząc pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło.

— Drogi Gwennie — powiedziała wówczas. — Jestem panu wdzięczna za pańską szczerą i spróbuję być godna okazanego mi w ten sposób zaufania. Moje piersi nie są już oczywiście tym, czym były dawniej. Pokażę je panu. Lecz, jeśli się zbytnio nie mylę, mogą się one jeszcze wydać panu czymś całkiem znośnym. Z pewnością docenię starania, jakimi je pan otoczy. Dziwię się, że nie wspomniał pan o moim pępku, który także wykazuje nadzwyczajną wrażliwość na delikatne pieścizoty. Moja łechtaczka, dość niepozorna w stanie spoczynku, potrafi gwałtownie wezbrać pożądanem. Oto w czym rzecz. Czy sądzi pan, że powinnam to zademonstrować?

— Czy powinna pani? Nie, droga Rosalie — odpowiedziałem z zapalem. — To żadna powinność, raczej już zabawa. Czy zgodzi się pani w tej mierze ze mną?

— No cóż, mogę pana na przykład upoważnić do rozebrania mnie. Nieprawdaż?

— Tak. Ale nie tak od razu. Muszę jeszcze panią zapytać o jedną lub nawet dwie sprawy.

— Ależ oczywiście! Jestem wprost oszołomiona! Mogę pana ulokować w ładnym dwupokojowym mieszkaniu, które mam przy ulicy Berlioza. To niezbyt daleko stąd, a jest ono dość wygodne. Ostatnie piętro, z tarasem, spokojne i słoneczne. Czy może pan możliwie jak najszybciej zrezygnować z dotychczasowego mieszkania? Gdzie pan mieszka?

— Mam mały domek od strony Falicon. Nie będzie żadnych trudności.

— Czy sześć tysięcy franków na pańskie przypuszczalne wydatki to suma dostateczna? Rzecz jasna, wszystkie nasze wspólne koszta biorę na siebie.

Uniosłem kieliszek i skłoniłem się:

— Rosalie — stwierdziłem z powagą — jest pani moja

opatrznością. Należę do tych artystów, których zhańbiono, zepchnięto na bok, wydano na pastwę wstydu i ciemności. I oto przychodzi pani i powiada: „Gwennie, jestem tutaj, nie dręcz się dłużej. Rozkazuj, a ja wykonam twoje polecenia!”

— Niech się pan tak nie podnieca, mój młody człowieku — odrzekła powoli. — Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

— Otóż to, moja droga. Idzie o rzecz, która również ma tu swoją wagę. Po prostu mam młodszego brata, wkraczającego właśnie w wiek młodzieńczy, jako że na Boże Narodzenie osiągnie lat siedemnaście. Jest ładnym blondynkiem z kręconymi włosami. Można by niemal rzec: prawdziwy pasterz grecki. Otóż uważam, że trochę za dużo w nim tej pasterskości i całej tej greckości. I to nie tylko ja takim go właśnie widzę. Kręci się również koło niego cała kupa drani, czyniąc mu pewne awanse, które wcale a wcale mi się nie podobają.

— Do rzeczy, przyjacielu.¹

— Powiedziałem sobie, że skutecznym sposobem odciągnięcia go od tych łotrów (mogą go zdeprawować, a później porzucić, jeżeli ja się w to wszystko nie wdam) byłoby zapoznanie go z jakąś kobietą, istotą o nieposzlakowanej moralności, ponadto bardzo ponętą, gdy idzie o fizyczną stronę zagadnienia.

Pociągnąłem łyk zimnej herbaty.

— Niech pan sobie nie przerywa, przyjacielu — powiedziała Rosalie. — Do czego zatem pan zmierza?

— Spieszę to pani wyjaśnić. Otóż mogłaby mi pani dopomóc wywlec Rodryga z czyhającego nań bagna.

— On naprawdę ma na imię Rodryg?

— Nie. To tylko pseudo. Zresztą... Gwennie również.

— Proszę sobie wyobrazić, że domyślałam się tego.

— I pani dobre uczynki zostałyby nagrodzone iście po królewsku, ponieważ mój braciszek zwykł puszczać w ruch język z jeszcze większą namiętnością niż ja,

a nadto pozwoliłby się brać na rożen, ot, wprost na pani oczach. Nić chcę mu robić reklamy, lecz jest to zaiste spektakl pdość zaskakujący.

— A wówczas właśnie pan dokonałby owego zabiegu?

— To chyba oczywiste, droga pani. O ile nie zażyczy sobie pani jakiegoś innego partnera, którego zresztą mogłaby nam pani wskazać osobiście. Rzecz chyba zrozumiała.

— Byłoby to możliwe — szepnęła Rosalie w zadumie. Niech się więc pan rozbierze, przyjacielu.

2

Tak naprawdę nie nazywam się ani Gwen, ani Treverec, jak już zapewne zdołaliście to odgadnąć. Wybrałem te dwa miana jako swój pseudonim, ponieważ mam wygląd przypisywany zazwyczaj wikingom, którzy w X wieku zaludnili Normandię, a w następnych latach skolonizowali część wybrzeża bretońskiego.

Dzieciństwo i wczesną młodość spędziłem w Sa-int-Brieuc, w prefekturze Côtes-du-Nord. Moi rodzice mieli tam — mój ojciec zresztą ma go w dalszym ciągu — hotel raczej średniej kategorii, oznakowany w przewodniku Michelina dwoma małutkimi złączonymi ze sobą domkami Gjkomfortowymi").

Hotelarstwo nie pociągało mnie zbyt. Ponieważ byłem dość dobrym uczniem, postanowiono mnie wysłać na wyższe studia do Paryża, tak, tak, na filozofię klasyczną, toteż nawet i dziś, gdyby zaszła potrzeba, umiałbym od biedy przytoczyć ten i ów cytat z Platona.

Lecz później mi się nie wiodło. Aż dwa razy na próżno zachodziłem na ulicę Sorbony: Państwowy Ośrodek Badań Naukowych nie potrzebował pracowników. Pozostało mi więc jedno tylko wyjście: nauczanie. Lecz tę ewentualność czym prędzej odrzuciłem. Wszystko, byle nie to, już raczej kierowanie hotelem zaklasyfikowanym jako „komfortowy”.

Po powrocie z wojska (służyłem w Rennes jako sekretarz pewnego pułkownika piechoty, który był raczej zrzęda, za to często wyjeżdżał w przeróżnych misjach, a miał rozkoszną żonę) zafundowałem sobie dwa miesiące refleksji — jedno lato spośród moich dwudziestu trzech lat. Wiedziałem, że jestem ładnym chłopcem, sądziłem, że jestem inteligentny, i nie odczuwałem bezwzględnej potrzeby zarobkowania, jako że moi drodzy rodzice skłonni byli dawać mi jeszcze przez dwa albo trzy lata przyzwoitą pensję miesięczną. Postanowiłem więc wyruszyć na spotkanie przygody. Pierwszy etap: La Cócotte d'Azur — w odróżnieniu od Côte.

Nikt nie decyduje się ot tak, z dnia na dzień, zostać żigolakiem. Zwykle zachodzą szczególne okoliczności, które — jeśli nawet nie decydują o twoim losie — przynajmniej pchają cię mocno w ową stronę.

Pierwsza starsza dama, która pojawiła się w moim życiu, rozogniła mnie bez reszty niczym kolumbijski handlarz podpalający komisariat policji.

Działo się to pewnego wieczoru na jednym z tych koślawych tarasów, ulokowanych nad plażą od strony Golfe-Juan. Siedziałem przy stoliku popijając spokojnie cytronadę i marząc o pewnym kawasaki 750, który dopiero co przemknął szosą przy samym brzegu. Pałałem chęcią zafundowania sobie takiego samego, atoli było to całkiem niemożliwe; moi rodzice sprawiali wprawdzie wrażenie całkiem sympatycznych, lecz — z mego punktu widzenia — osiągnąłem już ten wiek, w którym winienem sam umieć zaspokoić swe kaprysy podobnego typu. Czyż nie tak? Nie miałem jeszcze okazji wyjawić wam tego, lecz moją namiętnością są motocykle. Pewnie wam o tym jeszcze opowiem. Otóż tego lata rozjeżdżałem hondą 450, którą nabyłem okazji. Maszyna ta dawała mi pewną satysfakcję, ponieważ była bardzo zwrotna i dysponowała dość dobrym zrywem. Lecz ja mierzyłem wyżej. Bo tak właśnie trzeba.

Oddawałem się więc powyższym rozmyślaniom, kiedy zbliżyła się do mnie osoba płci niewątpliwie żeńskiej, wyglądająca na dobrą sześćdziesiątkę.

— Przepraszam bardzo — zagadnęła i uśmiechnęła się. Natychmiast zwróciłem uwagę na jej zęby; czyste i, jak mi się wydawało, chyba prawdziwe.

— Czy mogę usiąść obok pana? Wszystkie stoliki są zajęte.

Rzuciłem dwa spojrzenia: jedno — okrężne, na taras, który istotnie z wolna się zapełniał, i drugie — na wprost, w stronę dekoltu damy, na którym podwójny rząd pereł przydawał ceny i wagi potrójnemu rzędowi zmarszczek. I zdało mi się, że wśród nich dostrzegam lśnienie przedniego koła „kawy”.

— Ależ proszę bardzo — powiedziałem szeptem. Zdaje mi się, że nawet wstałem, aby przysunąć jej krzesło bliżej mojego.

Trwało to zaledwie siedemnaście dni, lecz otworzyło przede mną perspektywy na przyszłość, jakich nigdy dotąd sobie nie wyobrażałem. No a poza tym już po tygodniu miałem swoją „kawasaki” (mam ją zresztą do dziś).

Oczywiście ukułem sobie — według zasad filozofii klasycznej — kilka mądrości; trzeba, mówiłem do siebie, poznać świat, jego mieszkańców i przeróżne aspekty jego funkcjonowania: to właśnie tam kryje się źródło wiedzy i bogactwa, które nie jest podobne do niczego ani do nikogo, a którego nigdzie indziej nie znajdziesz.

Cóż, przyznaję, że słowo „bogactwo” było raczej nieco przesadzone, chyba że wziąć pod uwagę jego obrzydliwie materialny sens. Ale obecnie gwizdzę na to; rzecz nie ma już większego znaczenia, gdyż skapitulowałem.

Wiem, że mam do dyspozycji jeszcze jakieś dziesięć lat. Ale po ich upływie będę miał już odłożoną pewną kwotę, pozwalającą przetrwać do czasu, gdy będę się mógł cieszyć dobrodziejstwem sukcesji po ojcu, która pozwoli

mi żyć bez większych trosk aż do końca mych dni. A jeśli umrę wcześniej niżli on, to cóż za problem? Jestem pewien, że analogiczną myśl mógłbym znaleźć u Tymona z Fliuntu, ale dziś już nie potrafiłbym zacytować jej po grecku!

W gruncie rzeczy nie oddaliłem się tak bardzo od mych niegdysiejszych miłości, jako że dzisiaj nadal fascynują mnie stare obrazy. Tak czy owak niekiedy zdarza mi się niespodzianka: jakiś eksponat znakomicie wprost zakonserwowany.

Wróć do tego za chwilę. Lecz póki co, powinienem wam opowiedzieć cokolwiek o Rodrygu, zwanym Rodym. Nie jest to jego prawdziwe miano, tak jak i Gwen nie jest moim imieniem. Ale wydaje mi się, że ono bardzo do niego pasuje. Zazwyczaj przedstawiam Rody'ego jako brata, choć jest on zaledwie moim kuzynkiem „na modłę bretońską”, jak dawniej mawiano. Liczy sobie dwadzieścia jeden albo dwadzieścia dwa lata. Wygląda na dziewiętnaście, a mówi, że ma ich ledwie siedemnaście. Jest jaśniejszym blondynem niż ja i nieco ode mnie niższym, ale pięknym jak bóg.

Uzupełniamy się dość dobrze, ponieważ obcowanie z tą samą płcią nie zraża tego świntucha, czego doprawdy nie mógłbym powiedzieć o sobie. (No cóż, owszem, potrafię, lecz czynię to z przymusem). Zabrałem go kiedyś na dwa lub trzy interesujące baliki i odtąd zdarza nam się występować razem. Opowiem wam o tym, jeżeli jeszcze trafi się okazja.

Otóż sądzę, że poznaliście już cokolwiek pewnego dyplomowanego absolwenta literatury klasycznej. Kiedym otwierał ten przydługi nawias, do poznawania rzeczonoego dyplomanta zabierała się również Rosalie.

Ach, Rosalie!

Szczegóły jej życia poznałem dzięki wspólnym znajomym. Wiedziałem, że pochowawszy pewnego pana — Szwajcara, który wzbogacił się należycie na handlu biżu-

terią — zarabiała na bardzo dostatnie życie pisząc budujące powieści dla „Flammariona”, „Plon” lub dla „Tallan-diera”, przywodzące na myśl godny szacunku styl Claude Jauniere'a i Magali.

Wiedziałem także, iż nudziła' się cokolwiek,' żernie podzielała w zupełności wzniosłych uczuć wyrażanych przez bohaterów jej książek oraz — zupełnie inaczej niż oni przejawiała dużą ciekawość wobec zjawisk, które współczesne życie może zaoferować osobie inteligentnej, nie pozbawionej pieniędzy ani pewności siebie.

Tak więc już od paru miesięcy pragnąłem zawrzeć z nią znajomość i w związku z tym aż po dziś dzień unikałem frontalnego z nią zderzenia, ponieważ wydawało mi się, iż będzie lepiej, jeśli odniesie wrażenie, że to jedynie przypadek patronował naszemu spotkaniu.

Przeczytałem *Córkę dróżnika*, *Anestezjolożkę z czwartego bloku* i *Trwożne zaślubiny*. Nie powiem, iżby te książki pozostawiły w mej pamięci jakieś niezatarte wspomnienie: dziś już sam nawet nie wiem, w którym z tych dzieł była mowa o gwałcie (opowiadanym nader wstydliwie, bez brutalnych szczegółów) na dozorczyńni ogrodu Alsace-Lorraine w Nicei, a dokonany przez trzech pryszczatych wyrostków. Bo muszę tu dodać, że wszystkie powieści Rosalie rozgrywają się na Lazurowym Wybrzeżu.

Spotykało się je we wszystkich kioskach dworcowych Francji, zawarte pod ponętą i jakże kłamliwą okładką; kolekcja ich co roku wzbogacała się dokładnie o trzy tytuły. Mimo wszystko świadczyło to o tym, że ich autorka nie była jedną z owych burżujek, które zazwyczaj oczekują w słońcu Promenady, aż ich stare kości zaczną się w końcu rozkładać. Musiała spędzać wiele godzin dziennie przy maszynie do pisania, czyniąc to zapewne rano, jako że pomiędzy godziną ósmą a dwunastą w południe człowiek czuje największą wenę.

Poza tym galerie malarstwa otwierane są przecież dopiero po południu. A mówiono mi również, że Rosalie

pilnie chodzi na wszystkie wystawy i że często bywa w teatrze oraz na koncertach.

Wreszcie dowiedziałem się, że nie ma ani przyjaciela, ani też bliskiej przyjaciółki, miewając co najwyżej mniej lub bardziej udane przelotne związki miłosne. Była jedna taka osoba, która mnie o tym wszystkim poinformowała. Nie powiem Wam, kto to taki, choć zapewne się domyślcie.

Czy to już wszystko? Ależ skąd. Wiedziałem jeszcze, że Rosalie, wieczorami, przy ładnej pogodzie, lubi sobie spacerować brzegiem morza. Przy odrobinie uporu mógłbym ją tam spotkać.

I wiecie już, że do tego w końcu doszło. Mogę nawet określić dokładnie, że było to w piątek 8 czerwca, w dzień świętego Medarda. Jeżeli nie wyda wam się to piętnem przeznaczenia, jesteście z całą pewnością straszliwymi niedowiarkami.

3

Nie ma żadnych kompleksów, gdy idzie o mój oręż: wielu mężczyzn mogłoby zapewne rywalizować z moją anatomią, ale raczej niewielu miałoby szczęście zdołać mnie zawstydzić.

A jednak, gdy już stanąłem całkiem nagi przed Rosalie, pośród nader wyszukanych mebli jej bawialni, przeżyłem chwilę paniki.

I tak na przykład mój oścień, mój ukochany pyton, moje narzędzie pracy, sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar całkiem bezczelnie zwiotczeć: ot, najmniejszej nawet woli walki, czy choćby tylko zbrojnej ostentacji! Już czekałem na moment, kiedy Rosalie poprosi swoją pokojówkę, aby przyniosła jej drugą parę okularów gwoli dokładniejszego obejrzenia go.

Pokojówka ta rzeczywiście istnieje. Spotkałem ją nawet! Ma na imię Gilberte. Przyciężkawa już pięćdziesiątka, gorzej zakonserwowana niżli jej pani: jak powiada Krasucki, pracownica nie może aż tak dbać o tyłek jak jej chlebobdawczyni, ażeby go móc zachować w stanie godziwej używalności. Wniosek: jeżeli tylko masz po temu możliwość, dobieraj się już raczej do wyzyskiwaczki niż do wyzyskiwanej.

Taśma hi-fi sączyła rozkoszny *Koncert na fortepian i orkiestrę* Francisa Poulenca w wykonaniu Gabriela

Tacchino. Jedno lustro znajdowało się naprzeciw mnie, drugie — po lewej. Rzekłbyś — dzień rewii mody u Saint-Caurenta.

Obdukcja Rosalie należała do bardziej wnikliwych. Nie dość, że kazała mi wejść na fotel, ażeby mieć mą machineę na wysokości swych szkieleł, nie dość, że zważyła ją w rękę, żeby zbadać jej sprężystość i twardość, nie dość, że drażniła na tysiąc arcyzręcznych sposobów, iżby wypróbować jej agresywność, ale jeszcze przez dłuższą chwilę pottrzymała ją w ustach, aby ocenić jej smak. Obróciła ją na języku, próbując raz z jednej, raz z drugiej strony, podobnie jak kiperzy czynią to ze szlachetnymi trunkami z zacnej winnicy rodem.

Nadszedł moment, kiedy nie mogłem już zachować spokoju. Schwyciłem ją brutalnie za włosy i wpakowałem jej mego kobuza głęboko, aż do gardła. Zapewne zrosiłbym jej migdały, gdyby nie przerwała nagle mych harców — za sprawą finezyjnego uścisku na moje lewe jądro.

— Niech pan nie marnotrawi sił, przyjacielu — powiedziała spokojnie, rozluźniając ów chwyt godny zaiste Jarnaca. Nawet nie drgnąłem, ale obiecałem sobie, że odpłacę jej kiedyś pięknym za nadobne.

Ubrałem się więc, nieco nadąsany, a potem odwróciłem w stronę barku. ,

— Woli pani łyczek czegoś mocniejszego? — zapytałem przewrotnie. Sens mojej wypowiedzi nie uszedł jej uwagi.

— Nie. Jeszcze nie teraz. Ale niech pan sam sobie naleje, jeśli się panu chce pić. .

— Dziękuję.

Był tam tuzin butelek, w większości ledwie napoczętych. Wystarczająca ilość do przyrządzania koktajli.

Przyrządzanie napoi stanowi część ABC młodych mężczyzn do towarzystwa, podobnie jak znajomość wielkich hoteli, punktów widokowych o dużych walorach turystycznych oraz renomowanych domów mody.

Miałem zatem z czego przyrządzić „krażownika”, wynalazek naszego (nicejskiego) rodaka, Michaela Filippi: jedna trzecia burbona, jedna trzecia curacao, jedna trzecia cinzano. Poszedłem do kuchni po lód i zabrałem się do pracy. Nawet bez pomocy shakera, mając tylko wysoką, szklanę i długą łyżeczkę, radzę sobie całkiem dobrze. Mikstura miała ładny płowy kolor, niczym skóra dziewczyny z Antyli.

— Nie chce pani skosztować? — zapytałem. — To napój niemal miejscowy.

— Skoro tak, to bardzo proszę.

Podąłem jej szklanę. Zanurzyła w niej koniuszek języka.

—, Wyśmienity — powiedziała. — Ale dla mnie za mocny.

— Proszę poczekać, aż lód się nieco rozpuści. Wtedy koktajl będzie akurat taki, jak trzeba.

— Nie, dziś wieczorem nie. Dziękuję.

— Głupio mi pić samemu. Chciałbym się z panią trącić. Naprawdę niczego pani nie chce?

— Może za chwilę.

Usiadła w obitym skórą fotelu tuż obok kominka. Ja zaś stałem nadal przy stoliku. Patrzyliśmy na siebie z daleka, cokolwiek jakby zakłopotani. Wydawało mi się, że powiedzieliśmy sobie zbyt dużo albo też nazbyt mało.

Ona pierwsza przerwała milczenie.

— Gwen, dlaczego pan uprawia akurat ten fach? Wydaje mi się, że jest pan zdolny do wielu innych rzeczy, o wiele bardziej pasjonujących.

Przybrałem zagniewaną minę.

— To nie jest zawód, proszę pani: jest to działalność, która czasami okazuje się lukratywna, czasami zaś — nie.

Swoisty rodzaj sztuki. W każdym razie mam świadomość, że nie będę mógł jej uprawiać nazbyt długo. Oczekując, aż odkryję w sobie inne powołanie, czynię zadość temu obecnemu i w ten sposób uczę się wielu różnych rzeczy.

— Nie wątpię. I przypuszczam, że nie tylko najlepszych.

— Widzi pani, chcę przez to powiedzieć, iż czuję się dostatecznie niezależny, tak intelektualnie, jak i finansowo, aby móc wybierać spośród osób które poszukują mego towarzystwa.

— A ta... ta „działalność” ?...

Jej usta pełne były cudzysłówów. — Jak pan na to wpadł?

— Nie wyszło mi ze studiami tak, jak bym sobie tego życzył. Niewątpliwie miałem za duże ambicje. Lub... zbyt mało silnej woli.

Opowiedziałem jej rychło o dzieciństwie w Co-tes-du-Nord, o rodzinnym hotelu, o Sorbonie, o klapie w Chartres, o ukochaniu przygód i miłości do motocykli.

Słuchała nic nie mówiąc, najwyraźniej zauroczona moją opowieścią. (Wiem, że potrafię dobrze opowiadać).

Pozostało jeszcze trochę „krażownika” w zaimprovizowanym shakerze. Sięgnąłem więc po trunek, wypilem długi łyk. Znow zwróciłem się do Rosalie i przyglądałem jej w zadumie.

I właśnie wówczas zacząłem mówić o jej książkach. Powiedziałem, że przeczytałem trzy, i wymieniłem tytuły.

Wystąpiłem z ich zasłużoną pochwałą, nie kryjąc jednakowoż, że ogólnie rzecz biorąc wolę inne gatunki, ale że podziwiam zręczną konstrukcję jej fabuły, wartki styl opowiadania i żywość dialogów. Słuchała mnie i teraz, nie przerywając ani słowem, choć z rosnącym zdumieniem.

— Skąd pan to wszystko wie? — zapytała w końcu.

— Któregoś popołudnia ujrzałem panią w Galeriach Lafayette. Poszedłem tam coś kupić, nie wiem już nawet co, slipy czy krem do golenia. Zaproszono tam panią do działu księgarskiego w celu podpisywania pani książek.

Uznałem, że jest pani sympatyczna. I poczułem chęć przeczytania czegoś pani pióra. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. A potem doszedłem do wniosku, że to raczej zabawne.

Sprawiła wrażenie zmartwionej.

— Doprawdy, nie mam szczęścia — powiedziała. Zdarzyło mi się to tylko jeden jedyny raz, bo nienawidzę tego rodzaju ostentacji. I pech, akurat wtedy musi się pan tam znaleźć.

— Musiałem.

— Słucham?

— Należało powiedzieć musiał się pan tam znaleźć, Rosalie. Proszę nie zapominać, że jestem absolwentem filozofii klasycznej.

Rzuciła mi niezbyt życzliwe spojrzenie. — Do diabła z absolwentami filozofii klasycznej! Wolałabym, żeby nie znali mojego prawdziwego nazwiska! Uśmiechnąłem się do niej czule.

— Proszę się uspokoić, Rosalie. Znam tylko to nazwisko, pod którym publikuje pani swoje książki. Zresztą może pani być spokojna: nawet gdybym je któregoś dnia poznał, nikomu o tym nie powiem. Jedną z moich cnót jest dyskrecja.

Westchnęła.

— Mam nadzieję. A teraz chętnie bym się czegoś napiła.

— Ach! Byłem tego pewien. Więc czego?

— Jeden martini-gin. I jedną baby-dose! Z odrobiną ginu.

— Z perrierem?

— Nie. Poproszę tylko o trochę lodu. Zawróciłem do kuchni, żeby poszukać kostek lodu.

Przygotowałem szklaneczkę i przyniosłem jej.

Właśnie *Concerto* Poulenca dobiegło końca. Odwróciłem płytę (Z drugiej strony było Świstanie, cudowna muzyka baletowa) i usiadłem naprzeciwko, na taborecie od pianina.

Przez kilka minut oddawaliśmy się marzeniom. Rosalie popijała małymi łyчками ze swej szklanki, rzucając na mnie ukradkowe, to znów stanowcze spoj-

rzenia. Znakomicie zdawałem sobie sprawę, że właśnie wówczas podejmowała decyzję. Nie przez przypadek wybrałem akurat ten moment, by jej powiedzieć, że nie jest dla mnie osobą nieznaną. Ten wieczór nie mógł się zakończyć bez zadziergnięcia lub też zerwania jakichś więzów. Owo wyznanie musiało jakoś zaważyć na jej decyzji. Nie było to dla mnie li tylko kwestią uczciwości. Wiedziałem, że nie wybaczyłaby mi, gdyby się dowiedziała o tym sama, i to później.

Kiedy się odwróciła i wyciągnęła ramię, aby odstawić szklaneczkę na gzyms kominka, jej nogi rozsunęły się, sukienka uniosła nieco i stwierdziłem z odrobiną zdumienia, że nie ma pod spodem nic. A więc po naszym przyjściu, gdy weszła do łazienki, po prostu zdjęła tam majtki, czyniąc to pomiędzy dwoma ruchami szminki i dwoma obłózkami pudru ryżowego.

To nasunęło mi pewną myśl.

Udając, że bez reszty zawładnął mną Poulenc (zresztą mogło zdarzyć się to niejednemu), skoncentrowałem całą uwagę na mym śmigłym sokole. Za sprawą przyzwyczajenia (i codziennego treningu: nie lekceważmy treningu) osiągam pożądaną wzwód w czasie krótszym od minuty. I tego właśnie wieczoru udało mi się to tak jak zwykle.

— Chciałbym pani coś pokazać — powiedziałem.

— Proszę, niech więc pan to uczyni. Zbliżyłem się do niej.

— Trzeba, aby pani wstała. Zgoda? Uniosła się bez słowa.

— I żeby pani postawiła swą prawą stopę na skraju fotela.

Wybuchnęła śmiechem.

— A cóż to za dziecinada? W co chce się pan bawić? Mimo to wykonała polecenie.

W ciągu paru sekund rozpiąłem guziki, wziąłem Rosalie w ramiona i nadziałem ją z rozpędu na rożen. Chyba zadałem jej ból, gdyż jej błony śluzowe nie

zdążyły jeszcze zwilgotnieć, poza tym nazbyt brutalnie forsowałem przejście. Prócz tego ujrzałem dwie drobne łzy perlące się w kącikach jej-oczu..

A później, jako że byłem o dwanaście lub piętnaście centymetrów wyższy od niej, uniosłem ją mimowolnie z ziemi. Omal że nie straciła równowagi, więc uczepliła się mej szyi.

— Niech pan tak chwilę poczeka — szepnęła. — Podoba mi się, że jest pan taki silny. Ale niech pan nie postępuje nigdy wobec mnie brutalnie. Nie mogłabym tego znieść.

— Proszę się nie obawiać, Rosalie. Jestem człowiekiem nadzwyczaj łagodnym.

Ucałowałem, jej włosy, wycofałem się z niej i postawiłem ją na ziemi.

A mimo wszystko zauważyłem na moim flecie, gdy już chowałem go do spodni, parę czerwonych plamek.

4

W pięć dni później, w środę trzynastego, Rosalie poprosiła, abym jej towarzyszył w wędrowce po ulicach Nicei. Tłumaczyła to trudnościami z parkowaniem i zapewniała mnie, że jest jej niezbędny kierowca, aby mogła poczynić cotygodniowe zakupy.

Był to dziwny pomysł, jako że dzielnica eleganckich sklepów miasta (ulica Massery, Wolności, Alfonsa Karra, Rajska) nie dość, że znajduje się ledwie o dwa kroki od parkingu, gdzie Rosalie wynajęła w tym roku miejsce postojowe, to na dodatek poprzecinana jest licznymi chodnikami dla pieszych.

Zwróciłem na to uwagę mojej przyjaciółce, a ona stwierdziła, że mam rację i że będzie lepiej — jeśli się dobrze nad tym zastanowić — gdy ją zawiozę do „Cap 3000”, rozległego centrum handlowego, które wznosi się niemal na brzegu morza, dokładnie na zachodnim krańcu pasów portu lotniczego.

Chętnie na to przystałem, gdyż, po pierwsze, czułem się już związany z Rosalie, a po drugie — ponieważ miałem ogromną ochotę wypróbować jej renault 5 turbo.

Idąc pod rękę, udaliśmy się na parking.

Renault 5 miał białą karoserię; barwa ta jest najstosowniejsza do letnich przejażdżek po Lazurowym Wybrzeżu.

Rozalia wręczyła mi kluczyki. Wyprowadziłem jej

małego demona z parkingu, ostrożnie minąłem rampę i, przez ulicę Buffa oraz aleję Gambetty, dotarłem na Promenadę.

Od końca Promenady do „Cap 3000” będzie około sześć i pół kilometra. Żeby pokonać tę odległość, do tego takim samochodem, na obwodnicy Paul-Ricarda wystarczyłyby mi niecałe dwie minuty:

Na Promenadzie strawiłem na to więcej niż cztery i pół, nie szczędząc przy tym starań, żeby się nie zblamo-wać. (Dosiadłszy kawasaki pokonuję tę samą trasę w trzy minuty i czterdzieści sekund).

Znalazłem miejsce nie opodal skał sterczących nad morzem. Jakiś samolot, schodzący w tej samej chwili do lądowania, przeleciał z ogłuszającym łoskotem silników ledwie o parę metrów nad naszymi głowami, tak blisko, że wręcz można było odczytać znak fabryczny jego opon.

W centrum handlowym Rosalie zrobiła dość nietypowe zakupy: bardzo eleganckie buciki (od Carela), pół tuzina ręczników, trzy pary rajstop „Dim”, *Jeziro* Jeana Echenoza (Wydawnictwo „Minuit”), papier .listowy w kolorze szaroperłowym i przeróżne produkty farmaceutyczne (nie zwróciłem uwagi jakie). Przymierzała też trzy spódniczki (w tym jedną skórzaną), jedno spodnie rybaczki i dwa swetry z napisem „Courreges”. Chciała mi ofiarować flakon wody toaletowej, lecz powiedziałem jej, że nie chcę, że jestem przyzwyczajony do swojej i nie chcę zmieniać marki. Po powrocie wysadziłem Rosalie przed bramą, a sam wróciłem, by zaparkować samochód. Było cokolwiek po szóstej, kiedy znowu znalazłem się przy bulwarze Victóra Hugo. Zadzwoiłem do drzwi ha dole, zapowiedziałem się przez domofon i wsiadłem do windy. Drzwi na górze były lekko uchylone. Wszedłem i zamknąłem je za sobą. W przedpokoju, w kuchni ani też bawialni i przyległym salonie nie było nikogo.

— Hu, hu! — zawołałem.

Odpowiedział mi jej odległy głos.

— Gdzie pani jest? — zapytałem.

— Tutaj!

Owo „tutaj” nic mi nie mówiło, lecz samo brzmienie jej głosu wskazało kierunek. Pokój Rosalie znajdował się z drugiej strony salonu. Udałem się tam.

Pani domu (a zarazem i moja!) stała odwrócona do mnie plecami. Była właśnie w trakcie ściągania sukni przez głowę, w oczywistym zamiarze zmiany stroju. Raz jeszcze stwierdziłem, że zdołała zachować bardzo piękne ciało, z wdzięcznymi ramionami, jędrnym biustem, okrągłymi biodrami, zda się toczonymi udami i delikatną Unią łydek. Podeszedłem do niej.

— Proszę się nie ruszać — powiedziałem szeptem. Wziąłem ją w ramiona i począłem całować jej plecy, zstępując z góry w dół. Kiedy dotarłem do wklęsłości tuż przy lędźwiach, popchnąłem ją łagodnie. Ciągle jeszcze trzymała ramiona wzniesione do góry. Straciła równowagę i padła ze śmiechem na łóżko.

— Niech pan przestanie! — zawołała głosem zduszonym przez materię sukni.

Lecz ja nie przestawałem. Ściągnąłem jej oburącz rajstopy i majtki, odsłaniając isticie dziewczęce półgęski: nie za tłuste, ale dość dobrze umięśnione, bez jednej zmarszczki. Wsunąłem pomiędzy nie język.

Przeszkadzały mi fatałaszki, nie, pozwalając jej rozewrzeć nóg. Zerwałem je nagłym gestem. Protestowała wprawdzie pod swą „maską”, niemniej ukłękła, dzięki czemu jej tyłeczek się napiął. Znów jałem czynić użytek z języka.

Oddając się tym lingwistycznym zabiegom, rozpiąłem pasek, zsunąłem w dół zamek rozporka i wydobyłem na wierzch swojego kolibra. Był w pełnej formie.

Nie zdejmując spodni, skarpetek ani też butów, spocząłem na Rosalie wsuwając mojego grdysia pomiędzy jej uda.

Poczułem, że cała drży.

Jak wiele kobiet, które akurat nie miały dzieci, będąc już blisko sześćdziesiątki zachowała szczupłą aksamitną myszkę, taką samą jak w okresie młodości. Zapewne nie była ona dotąd zbyt często używana. Jeżeli dobrze zrozumiałem, zapewne pięć czy sześć lat temu postanowiła zmienić swoją konduite, a potrafiła zawsze nader inteligentnie dobierać sobie partnerów.

Zda się miażdżyła rozkosznie klingę mego rapiera. Nabrałem więc tempa.

Najsampierw wsunąłem jej ręce pod brzuch, ażeby pomieścić pepek, a następnie piersi, czyniąc to poprzez stanik, który wciąż zachowała na sobie.

Spod sukni, z którą przestała się już szamotać, usłyszałem jej stłumione wezwanie:

— Ach, Gwen, Gwen — powtarzała. — Ach, Gwen-nie... Bierz mnie całą.

Cóż, właśnie się do tego przymierzałem.

Uniósłszy się lekko wsunąłem moją prawą rękę pod mój własny brzuch, osiągnąłem szczyt jej bruzdy i wcisnąłem się w nią głębiej. A potem wprowadziłem palec serdeczny do jej stokrotki i zacząłem nim wyczyniać przeróżne igraszki.

Jej jęk stał się z nagłą bardziej ochryply i wyraźniejszy.

— Głębiej, mój kochany Gwennie. Głębiej, proszę...

Ponieważ o to wyraźnie prosiła, drażyłem dalej. Strumień, jakim bryznąłem w jej szparkę, starczyłby do unasiwienia całego klasztoru karmelitanek. (Mocny Boże, cóż by one poczęły z tą progeniturą?)

Nie wycofałem się natychmiast, lecz trwałem przyklejony do pleców Rosalie, z lekka wilgotnej od potu, chcąc nieco przyjść do siebie.

Po minucie usłyszałem błagalny głosik:

— Wyjmij go stamtąd, kochany. Nie mogę złapać tchu...

Wybuchnąłem śmiechem i powoli uwolniłem Rosalie od ciężaru mojego ciała, a nadto od „żelaznej kuny” jej sukni. Odwróciła się do tyłu. Wyciągnąłem się obok niej. Gładziła mnie po twarzy. Zdawała się być bardzo ukontentowana. Pocałowałem ją.

— Jest pani wspaniała, moja Rosalie — powiedziałem do niej czule. — Mam wprost piekielne szczęście, że panią spotkałem. To raczej ja powinienem panią utrzymywać.

Roześmiała się.

— Ledwie się pan zabierze do rzeczy, a już te wygłupy.

Przymknęła oczy.

— Czy pani nie zimno? — zapytałem. Pokręciła przecząco głową.

Zrzuciłem czym prędzej buty, skarpetki oraz spodnie i otuliłem nas pikowaną kołdrą. Rosalie skuliła się u mego boku.

— Ładnie pan pachnie — powiedziała.

— To „Gwen Rater” — odrzekłem. — Ta woda nosi moje imię, gdyż nie poczuje jej pani od nikogo prócz mnie...

Jest to woda toaletowa, którą pewna przyjaciółka ;— drogistka w Pont-du-Loup skomponowała specjalnie na moją cześć.

— Z miłości? ,

— A jak pani sądzi?

Wtuliła nos w moją pierś i odetchnęła głębiej.

— Sądzę, że chyba tak.

— Wygrała pani.

Spojrzała mi prosto w twarz, przysuwając źrenice, tak iż znalazły się ledwie o dwa palce od moich oczu.

— Raczej nie zwykłam chybiać w tego rodzaju zagadkach — powiedziała z uśmiechem. — Gdyż mam po temu specjalny rodzaj węchu.

Za całą odpowiedź wsunąłem jej język pomiędzy zęby. Zauważyłem już, że Rosalie ma twarz o z lekka

wysuniętej dolnej szczęce. Tego wieczoru mogłem stwierdzić, iż ów drobny defekt, zdradzający niepospolitą inteligencję i skłonność do palenia fajki, był po prostu dziełem natury, a nie źle dopasowanej protezy.

Ciepło pomieszczenia, dobroczynne zmęczenie i łagodny dotyk kołdry również zrobiły swoje, toteż po kilku minutach zapadliśmy w rozkoszny sen.

Kiedy rozwarłem oczy, ujrzałem, że Rosalie, wsparta na łokciu, przygląda mi się bacznie. Pochyliłem się w jej stronę, ucałowałem w lewą pierś, a potem — wyciągnąwszy rękę w kierunku jej brzucha i wzgórka łonowego, pocałem ją delikatnie pieścić.

Jej kwiatuszek był jeszcze lepki od likworu, którym niedawno go napełniłem. Zwilżyłem w nim zatem koniuszki palców i przysunąłem je do warg Rozalii. Dotknęła ich kilkakrotnie językiem i zdawała się w ten sposób degustować mieszaninę naszych dwóch płynów, toteż musiałem wiele razy powtarzać ów gest.

Chciała mnie wówczas przyciągnąć do siebie, ale ja się wzbraniałem.

— Chwileczkę, moja droga — stwierdziłem. — To pora jakby stworzona dla aperitif.

— Istotnie. Zaczynam już czuć się głodna — odrzekła.

— Która to godzina?

Rzuciła okiem na swój zegarek-bransoletkę.

— Kwadrans po siódmej.

— Zajmę się posiłkiem — oświadczyłem.

— Nie chciałby pan zjeść kolacji gdzieś poza domem?

— Nie, raczej nie. A pani?

— Sama nie wiem. To będzie raczej zależało od tego, co pan znajdzie w lodówce. Sądzę, że jest tam jeszcze kilka plastrów świeżego łososia.

— Zajmę się tym.

Wyskoczyłem z łóżka, przeszedłem do łazienki, wziąłem szybki prysznic i wyskoczyłem stamtąd owinięty w szlafrok barwy kanarkowej, zdobny w jakieś afrykańskie wzory.

— Czy nie będzie to pani przeszkadzać, że przygotowując posiłek pozostanę w negliżu? — zapytałem. — Obiecuję ubrać się należycie przed zasięściem do stołu.

— *As you like it*, mój drogi, jak mawiał wielki Szekspir.

— Zgoda. / *like it* — odrzekłem jej na to.

W lodówce znalazłem istotnie kilka plastrów łososia, prezentującego się wprost wyśmienicie. Wziąłem dwa, ułożyłem na żaroodpornym półmisku i wsunąłem je do gazowego piekarnika.

Podczas gdy mięso tej bestii rozmrażało się, a potem piekło, przygotowałem w trzech różnych kokilkach masło estragonowe (bardzo niewiele), masło z anchois (dużo anchois) i lekki winegret z cebulką-eszalotką.

Potem nakryłem stół na tarasie i zaciągnąłem story, aby osłonić go przed promieniami zachodzącego słońca.

Wówczas zasiadłem do pianina i czekając, aż łosoś będzie gotowy — zaprezentowałem całą swą nieudolność muzyczną, masakrując kilka wdzięcznych standardów Gershwina.

Byłem akurat przy *The Man I Love*, gdy ukazała się Rosalie.

Ona także była w dezabilu, tyle że w jej przypadku był to strój o wiele bardziej elegancki: z wodnistozielonego jedwabiu, z bardzo obszernymi rękawami, ot, rodzaj kimona. Stała za mną, pochyliła się nad moim ramieniem i cmoknęła mnie w szyję. Pozostała przez chwilę w tej pozycji.

Potem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, pochyliła się, wsunęła na czworakach pod pianino, rozsunęła poły mojego szlafroka i wzięła mą czarnąkrowęwkropkibordo w otwarte usta.

Pomyliłem akord przejściowy, atoli nie przestawałem bębnić po klawiaturze.

Moje małe zwierzątko, zrazu potulne, jęło powoli stawać dęba. Wtedy Rosalie przystąpiła do dzieła z jeszcze większym zapałem. Było to dość zabawne i raczej przyje-

mne. Mnożyłem fałszywe tony nie śmiejąc jednak przerwać. Właśnie zaatakowałem *Lady be good*, kiedy podrażniła nam nozdrza woń pieczonego łososia.

Wydałem gniewny okrzyk, uwolniłem się z moich słodkich więzów i pognałem do kuchni. Ścigał mnie perlisty śmiech Rosalie.

Straty nie były jeszcze nie do naprawienia. Wyłączyłem gaz, uzbroiłem się w ściereczkę, wyciągnąłem półmisek z pieca i wszedłem triumfalnie do bawialni wołając:

— Pani, podano do stołu! Ustawiłem półmisek na stole tarasu.

— Ach, przepraszam — dodałem z miną pełną skruchy. — Wszak obiecałem pani, że ubiorę się do kolacji!

— Proszę tego nie robić — powiedziała Rosalie. — Wolę pana już takim. Jest pan o wiele bardziej miłutki. A zatem do stołu;

Udałem się do małego pomieszczenia, które znajdowało się obok kuchni, wybrałem dwie hutelki delikatnego La Croix-Valmer, otworzyłem jedną, a drugą wstawiłem do zlewu, żeby ją schłodzić, umieszczając starym sposobem w wiaderku napelnionym wodą.

Gdy wróciłem, Rosalie rozwijała już swoją serwetkę.

— Sprawił pan, że poczułam głód, mój skarbie — powiedziała do mnie. — Ten pański aperitif był wprost znakomity. Czy poda mi go pan jeszcze?

— Przed każdym posiłkiem, jeśli tylko pani tego zapragnie.

Pocałowałem ją w dowód wdzięczności i usiadłem naprzeciwko.

Łosoś był wyśmienity (moje trzy sosy również). Po rozplływającym się na języku *chavignol i* z lekka przesłodzonych brzoskwiniach powróciłem do bawialni i usiadłem w obitym skórą fotelu. W zasięgu ręki miałem La Croix-Valmer.

Rosalie usiadła mi na kolanach. Otoczyłem ją ramieniem.

- Zastanawiam się, droga Rosalie, dlaczego wybrała pani akurat takie życie, jakie dziś pani prowadzi?
- Czyżby spodziewał się pan odpowiedzi pasterki udzielonej pasterzowi? — zapytała z uśmiechem.
- Być może.
- A zatem zechce pan sprecyzować swoją myśl, drogi Gwennie.
- Spotkaliśmy się ledwie przed tygodniem. To trochę zbyt krótki czas, żeby móc panią poznać, lecz dostatecznie długi, iżby panią docenić. Można się więc dziwić, że taka kobieta jak pani nie miała u swego boku mężczyzny inteligentnego, sympatycznego, a także godnego miłości i szacunku.
- No dobrze, a czyż pan nie jest właśnie taki?
- W żadnym wypadku.
- Zatem pytam, cóż taki feniks dałby mi więcej od pana?
- O Boże, to, co ogólnie rzecz biorąc daje mąż: pewien spokój, zaufanie, możliwość snucia wspólnych planów. Czyż nie tak?
- Reasumując: jakiś solidny zawód?
- Cóż, może pani sobie ze mnie kpić, jeśli to panią bawi.
- Rosalie musnęła wargami mój nos.
- Wcale z pana nie kpię. Ale nie mam ochoty opowiadać o swoim życiu. Zresztą wyjawiałam już co ważniejsze sprawy. Przez dwadzieścia dwa lata byłam żoną pewnego pana, który zdawał się być tym wszystkim, o czym pan mówi: dość przystojnym, choć nieco starszym ode mnie jegomościem, błyskotliwym, kochającym i pełnym troski. I co pan na to?
- Oczekuję pewnego „ale”.
- Otóż to. Znajdzie się takowe. Był bigotem i człowiekiem nazbyt drobiazgowym. Codzienne życie u jego boku było śmiertelnie nudne. Ale jest to coś, czego narzeczona nie zdoła odgadnąć, dopóki, nie przekona się

o tym na własnej skórze w ciągu całych tygodni i miesięcy nieprawdą? Poza tym, będąc przeświadczony, że prowadził się jak najlepszy z mężów, ani przez minutę nie zastanowił się, czy byłam z nim szczęśliwa. Zresztą gdyby nawet ktoś. mu wspomniał o moich rozczarowaniach i żalach, absolutnie nie byłby w stanie pojąć, o czym właściwie mowa.

— Tak, mój ojciec jest właśnie trochę w tym stylu. Wiem doskonale, co pani chce powiedzieć.

— Po jego śmierci, gdy już go dostatecznie opłakałam, poprzysięgłam sobie, że już nigdy więcej nie wpędzę się w taką kabałę.

Nachyliła się, ujęła mój kieliszek i pociągnęła łyk cotes-de-provence.

— I stąd właśnie wziął się pan, Gwenie. W ciągu tych pięciu dni zdołałam już pana należycie ocenić. Ja również pana nie znam. Być może w ciągu tygodnia zakocham się w panu do szaleństwa. A potem? Któż mi zaręczy, że na dłuższą metę nie okaże się pan graczem, ókrutnikiem, kłamcą albo kobieciarzem?

— Niech pani nic więcej nie dodaje.

— Przykro mi, ale, mój piękny skarbie, jeśli pan nie chce słuchać odpowiedzi, niech pan nie zadaje pytań.

— Cóż, zgoda.

— To jeszcze nie wszystko.

— Doprawdy? — zapytałam, tak czy owak cokolwiek dotknięty.

— Tak. Bywam niewierna. Lub raczej miewam następujące po sobie okresy wierności. Uwielbiam zmiany. Nie chcę więcej nosić łańcucha u nogi.

— Czy dużo miała pani takich „okresów wierności” od śmierci męża?

— Tylko trzy. Z których jeden, muszę to wyznać, dał mi się mocno we znaki. Ale to już nie pański interes.

— W samej rzeczy.

Odebrałam jej mój kieliszek, dokończyłam go i postawiłam na stoliku. Potem znów wziąłem ją w ramiona...

— Czy pani wie, Rosalie, że jest pani wspaniałą kobietą? Nigdy się nie pogodzę z myślą, że nie znałem pani, gdy pani miała ledwie trzydzieści lat. Pokazałbym wówczas pani, jak można być mężem miłym i inteligentnym, zakochanym i czułym, nie będąc przy tym małostkowym bigotem.,

Objęła mnie za szyję.

— Sam pan nie wie, co pan wygaduje, mój przyjacielu. Kiedy miałam trzydzieści lat, nawet bym na pana nie spojrziała; podobali mi się wówczas wyłącznie starsi panowie. O tak! Oto co robiono wówczas z dziewczętami przebywającymi po dwanaście lat na pensji, stosując w tym właśnie celu budujące powieści!

— Jeśli ktoś nie ma prawa kpić z tego rodzaju, literatury, to z całą pewnością pani, Czyż nie tak?

— Ja wcale z niej nie kpię, mój panie. Ja tylko biorę odwet.

I cóż mogłem na to odpowiedzieć?

5

W sobotę 23 czerwca rano upłynęły dwa tygodnie naszej znajomości. Gdy podawałem jej właśnie do łóżka śniadanie (sok pomarańczowy, herbatę bez cukru, jogurt i dwa biszkopty posmarowane cieniutką warstwą galaretki porzeczkowej; sam wypilem swą kawę już dobre pół godziny wcześniej), Rosalie powiedziała:

— Czyż nie obiecał mi pan sprowadzić tutaj swega brata?

— Istotnie. Pamiętam o tym. Miałem zamiar to zrobić któregoś z najbliższych dni.

— Sądziłam, że sprawa jest dość pilna, że trzeba wyrwać go ze szponów rozpusty i wziąć solidnie w garść.

Spoglądała na mnie z ukosa. Łotrzyca, bawiła się moim kosztem.

— No cóż — powiedziałem — jestem wprost wzruszony pani troskliwością. Więc kiedy zechce pani zawrzeć z nim znajomość?

— Sama nie wiem. Jak pan sądzi, może zechciałby zjeść z nami jutro obiad lub kolację, jako że jest to niedziela? „ •

— W każdym razie zawsze mogę go o to zapytać. Jeżeli będzie wolny, z pewnością się zgodzi.

— Zatem liczę na pana.

Dopiła jogurt. Ugryzła kawałek biszkopta, którego

liczne okruchy rozsypały się po jej biuście. Strzepnęła je niedbałym ruchem.

— Ja ńże swej strony zaproszę moją przyjaciółkę, Ginette.

— Ma pani przyjaciółkę imieniem Ginette?

— To raczej siostra po piórze. Pani, która pisuje sentymentalne i wielce prawomyślne powieści, a mieszka. w Clermont-Ferrand. Lecz dwa miesiące w roku spędza na Wybrzeżu. Przeczytałam niektóre spośród jej książek: trzeba mieć jakieś pojęcie, co piszą inni. Poznałam ją dopiero w zeszłym roku u wspólnych znajomych. I dość szybko zaczęłyśmy ze sobą sympatyzować. Sądzę, że pan ją polubi. Jest mądra, a przy tym nie brak jej talentu.

— A więc ma pani zamiar zorganizować nader wytworny wieczór.

— No cóż. Przecież ja sama jestem bardzo wytworna. Nie zauważył pan tego?

— Ależ naturalnie. Lecz chciałbym przy okazji zapytać, czy nie ma pani przypadkiem zamiaru wypróbować, hm, szczególnych talentów Rody'ego?

Przełknęła łyk herbaty.

— Oczywiście, że tak. Dlatego życzę sobie nieco większego towarzystwa. Towarzystwa w sensie współdziałania, nie zwykłej publiczności.

— I sądzi pani, że owa przyjaciółka, Ginette.

— Proszę posłuchać. Dopiero co odbyłyśmy dość interesującą rozmowę. Dała mi wyraźnie do zrozumienia, nie mówiąc tego wprost, że czuje się cokolwiek samotna i nie miałaby nic przeciwko pewnej „odmianie” moralnej. Nie komentowałam tego. Niemniej to określenie wydało mi się interesujące.

— W samej rzeczy.

— Toteż mam ochotę poddać ją próbie, aby sprawdzić, czy za tą nieco literacką deklaracją kryje się rzeczywista intencja, czy też jest to tylko ot, zręczna formułka.

— Rozumiem. I to właśnie Rody ma przeprowadzić test?

— Pan także, jeżeli tylko to panu odpowiada. Wierchem dłoni dotknąłem czajniczka do herbaty.

— Rosalie, herbata pani stygnie. Czy życzy sobie pani, abym ją podgrzał?

— Nie. Studzę ją świadomie. Piję nieomal zimną. Zastanowiłem się.

— Czy ta Ginette jest równie piękna jak pani?

— Pochlebca! To całkiem inny styl. Ona jest mniejsza, lecz za to uroczo zaokrąglona. Blondynka o szaronie-bieskich oczach. Nie potrafiłabym powiedzieć, czy się panu spodoba, ale byłabym bardzo zdziwiona, gdyby się nie spodobała.

— No tak, zawsze to samo. Dziękuję za słowa otuchy. Nazajutrz Rody był wolny przez cały dzień. Ale Ginette zdążyła już przyjąć czyjeś zaproszenie na obiad. Wobec tego postanowiliśmy się spotkać około siódmej, ósmej przy bulwarze Viktora Hugo.

Z powodów znanych wszystkim prawdziwym koneserom postanowiliśmy podać na kolację ogromny półmisek frutti di mare, sałatę i sorbety. Ja zająłem się uzupełnieniem piwnicy i barku.

U pewnego handlarza win w dzielnicy muzyków znalazłem różowy lirac i wziąłem trzy butelki. Lirac jest jednym z najlepszych win różowych robionych we Francji: jasne, klarowne, ma żywy, ostry smak oraz zapach leśnych poziomek. Jedyny kłopot polega na tym, zwłaszcza w przypadku pań, że jego moc osiąga niekiedy piętnaście procent. A więc przezornie zaopatrzyłem się również w badoit. > Pierwszy przyszedł Rody, około pół do siódmej. Był jak zwykle wspaniały, lecz w nieco odmiennym stylu: miał na szyi czerwoną chustkę; przywdział także białą koszulę, fioletowe spodnie i kanarkowy sweter o podwiniętych rękawach. Na bosych stopach miał białe mokasyny. Na jego widok Rosalie omal nie padła z wrażenia.

W dwadzieścia minut później, zgodnie z umową, chłopak od przekupnia ostryg z alei Marszałka Focha przyniósł w dwóch termosach zamówione przez nas stworzenia. Były znakomicie wprost przyrządzone, przykryte etaminą i otulone lodem. Ów młody człowiek wsunął do kieszeni swoje pięćdziesiąt franków napiwku i począł zmierzać do wyjścia życząc mi miłego wieczoru.

— Nawzajem — odpowiedziałem, jak się to zwykło czynić w Saint-Brieuc (co prawda w kręgach raczej plebejskich).

Zniknął.

Ginette pojawiła się około siódmej trzydzieści. Napocząłem już butelkę Casanisa i jałem podjadać oliwki. Rody, który bardziej dba o swój look niż ja (ach, ta młodzież) zaakceptował tylko lampkę badoit.

No cóż, Ginette istotnie była milutka. Nosila kostium w kolorze ciemnoniebieskim, delikatnie prążkowany (wzdłuż), co wysmuklało z lekka jej szlachetne kształty, i buty na wysokich obcasach, za sprawą których jej czoło mogłoby się znaleźć na wysokości mych wąsów, jeślibym tylko nosił wąsy.

Miała małe usta, krągły podbródek, ostro zakończony nos, śliczne kształtne uszy oraz żywej przenikliwe oczy. Od pierwszego wejrzenia przypadła mi do gustu.

Rosalie bacznie śledziła moją reakcję. Mój brat, którego wtajemniczyłem w jej skryte plany, zakrzętnął się żywo wokół naszego gościa. Ja okazałem się bardziej wstrzemięźliwy, wiadomo czemu.

Frutti di mare są znakomitym wstępem do tego typu wieczoru. Po pierwsze dlatego, że zazwyczaj nie zawodzą jako powszechnie uznawany dyskretny afrodyzjak (zapytuję wobec tego, czy to powszechne uznanie dotyczy również wybornego w gatunku podniecenia, jakiego dostarcza fakt zjadania żywego stworu?). Po drugie z tej przyczyny, że rozkoszny bałagan towarzyszący nieodłącznie tego rodzaju posiłkom stanowi właściwy wstęp do

godziwego „nieładu artystycznego”, którego skutki znakomicie sprzyjają utrzymaniu wesołego nastroju. Ostrożnie napełniałem kieliszki lirakiem na przemian z badoit: po kobiecie, która wypije za dużo, nie można oczekiwać niczego rozsądnego. (Po mężczyźnie również, ale tego wieczoru, nie był to bynajmniej mój kłopot). Kiedy podałem sorbety, nie zdążył nawet zapaść zmierzch, a oczy pań nabrały dziwnego blasku. Włączyłem gramofon puszczając Pasję według świętego Jana, Nie wiem dlaczego, ale utwór ten zdaje mi się zawierać jakąś cudowną zmysłowość. Być może dlatego, iż jestem nieprawdopodobnie wrażliwy na głosy kobiet, zwłaszcza w chórze. W każdym razie z pewnością nie szło tutaj o jakiś żart w złym guście. Zależy mi bowiem na podkreśleniu, iż żywię głęboki szacunek dla rzeczy świętych, podobnie zresztą jak' większość moich bliźnich. Bez względu na przyczyny, owa cudowna muzyka pogrążyła każdego z nas w czymś na kształt lekkiego, radosnego rozmarzenia.

Zaproponowałem kawę, na co wszyscy przystali, poprosiłem więc Rody'ego, aby pomógł mi ją zaparzyć.

Oczywiście nie był mi wcale do tego potrzebny. Niemniej intuicyjnie czułem, że Rosalie pragnie pozostać sam na sam ze swą przyjaciółką, aby wydobyć z niej opinię na temat drugiej części programu.

Istotnie, nieco później wyjawiała mi sedno rozmowy.

— Droga Ginette — zapytała Rosalie — co pani sądzi o tych dwóch czarujących chłopcach?

— Nie sądziłam, że może mi się jeszcze zdarzyć jeść kolację nieomal tete-a-tete z dwoma młodymi ludźmi, takimi, hm... bardzo sympatycznymi.

— Oni są także... wie pani... bardzo chętni do pieścizot.

— Wyglądają mi na to — odrzekła rozmarzonym tonem Ginette.

— W rzeczy samej. Choć jednego z nich widzę po raz pierwszy w życiu.

— Sądzę, że byłaby pani szczęśliwa mogąc go poznać bliżej.
— Nie pomyliła się pani.
— I właśnie, dzięki temu zaprosiłam panią na dziś wieczór.
— Dobrze pani zrobiła, Rosalie. Dziękuję.
— A więc? Chce pani, abyśmy dokonały próby? Ginette bawiła się rubinem zdobiącym pierścionek na jej lewym serdecznym palcu.
— Nie jestem pewna — odrzekła — czy potrafiłabym się do tego jakoś zabrać.
— Czy aby. jest jednak pani pewna siebie?
— Siebie?
— Czy jest pani zdecydowana?
— Chce pani zapewne powiedzieć: zdecydowana, aby pójść na całość?
— Dajmy na to.
Ginette spojrzała na Rosalie z głębin swych niebieskich oczu.
— No tak... — odrzekła. -
— A więc będzie się pani uczyć wraz z nami.
— Myślę, że was nie zawiodę.
— Niech pani tylko pozostanie sobą, a zaręczam, że nikogo pani nie zawiedzie.
— Obawiam się, że trochę brak mi w tej mierze wyobraźni. Ale w końcu nie jestem chyba zmuszona przejmować roli inicjatora, prawda?
— Nie. Ci dwaj są znakomici. Pójdą w ślad za panią albo też panią wyprzedzą, zgodnie z pani życzeniem.
— Lecz mimo wszystko, no cóż, trochę mnie pani onieśmiela. Serce mi bije tak mocno...
— To przejdzie. Proszę wypić jeszcze odrobinę różowego...
Obydwie zaczęły chichotać.
Prawdę mówiąc, trudno byłoby odgadnąć w tym momencie, która z nich była bardziej onieśmielona.,

Nie podsłuchiwałem pod drzwiami. Lecz dokładnie w tej samej chwili wszedłem do bawialni z maszynką do kawy w rękę. Uśmiech Rosalie utwierdził mnie w przekonaniu, że wszystko idzie dobrze.

— Cóż to za spisek, moje panie? — zagadnąłem jowialnie.

Otworzyłem oszklone drzwiczki pod blatem stolika i wydobyłem cztery filiżanki, cztery spodeczki i tyleż łyżeczek.

— Nic, co by mogło pana niepokoić, mój drogi.

— I co jeszcze?

— Zastanawiamy się nad sposobem miłego spędzenia wieczoru.

— Znacie strip-dice ? — zapytał Rody, który wszedł tuż za mną, wnosząc dzbanuszek ze śmietanką i cukier-niczkę.

— Nie — odrzekła Rosalie. — Niech nam pan to wytłumaczy.

— Jest to znakomita gra na takie upalne wieczory jak ten. Gra się trzema kostkami, trochę jak w czterysta dwadzieścia jeden. Liczy się punkty. Ten, kto osiągnął najniższą ich sumę, musi zdjąć jakąś część swojej garderoby. Inaczej mówiąc wygrywa, ponieważ to właśnie on czy ona najszybciej osiąga stan absolutnej wygody.

Napełniłem filiżanki.

— Chyba nie jest jeszcze dostatecznie ciepło — powiedziała Rosalie. — A poza tym sądzę, że nie mam w domu kostek. Gwen, proszę zajrzeć do głównej szuflady kredensu.

Postawiłem maszynkę do kawy na stole i poszedłem tam zajrzeć. Znalazłem dwie talie kart do brydża, małą ruletkę z zieloną podstawką, żetony i pokera-dices, ale kostek w stylu francuskim jakoś nie dostrzegłem.

Wziąłem więc kostki do pokera. Rosalie zwróciła się do mojego brata:

— A co pan o tym sądzi, Rody? Ten zmarszczył brwi.

— Piekielnie dużo czasu stracimy na liczenie punktów — powiedział. — Miejmy przy tym nadzieję, że nikt się nie pomyli.

— A zatem — powiedziałem — wymyście nam coś lepszego, panie powieściopisarki! W końcu to przecież wasz zawód... Słuchajcie, dajemy wam dziesięć minut; tyle, ile potrzeba na uprzątnięcie stołu. Czy nikt już nie chce kawy? Jest jeszcze pół maszynki.

Lecz nikt nie chciał.

Rody i ja zabraliśmy się więc do innej roboty.

Właśnie układałem porcelanę w maszynie do mycia naczyń, co — jak zapewne sami wiecie — jest zawsze rzeczą bardzo skomplikowaną, kiedy Ginette wetknęła nos przez kuchenne drzwi.

— Przyszedł mi do głowy pewien pomysł — oznajmiła.

— Byłem przekonany, że możemy na panią liczyć — odparłem z galanterią.

— Go pan zrobił ze skorupkami stworzonek, które przed chwilą pochłonęliśmy?

— Są w pojemniku, na śmieci.

— Czy może je pan odzyskać? Wykrzywiłem twarz w grymasie niechęci.

— Tak, jeśli pani bardzo na tym zależy.

— Owszem, bardzo — stwierdziła.

Spojrzałem na nią. Była dość milutka z tą swoją Okrągłą twarzyczką, jasnymi włosami, niebieskimi oczami i zdecydowaną minką.

Uśmiechnąłem się do niej.

— No więc zrobione!

— Dziękuję. Proszę wyjąć cztery lub pięć tuzinów, koniecznie trzech różnych wielkości.

— Zgoda, załatwione.

— Proszę je umyć pod kranem, a następnie przynieść nam w dużej salaterce.

— W dużej salaterce, zgoda.

— Zobaczy pan, co warte są powieściopisarki.

I jakiś jasnoróżowy błysk ukazał się w jej źrenicach. Zapewne resztką liracu. Wyszła.

Wyjąłem worek na odpadki ze stosownego pojemnika i otworzyłem go. Skorupki były na samym wierzchu.

Znalazłem ich siedemdziesiąt sześć, a więc nieco więcej, niż mnie o to proszono. Były trzech różnych rodzajów.

Podstawiłem je pod strumień wody wachając z rozkoszą. Dlaczego muszelki wydzielają — choć w innym nieco stopniu — taki sam zapach, jak kobiesy seks? Czy to dlatego, że wszyscy pochodzimy od mięczaków i małży?

Doprawdy, Natura jest wprost niepojęta.

W kuchennym kredensie znajdowała się wielka biała salaterka, podrabiany stary Maustiers. Złożyłem w niej moje muszelki i triumfalnie wkroczyłem do bawialni. Wspomagana przez Rodryga, Ginette odsuwała w głąb pokoju stół, na którym jedliśmy kolację, odsłaniając w ten sposób dywan.

— Gwen, jest pan niezrównany—powiedziała do mnie. — Niech pan to wszystko umieści pośrodku dywanu.

Przydałaby się nam także duża biała serweta.

— W tej chwili.

Wyjąłem ją natychmiast z jednej z szuflad stołu. Ginette rozpostarła ją i ułożyła nad salaterką.

Stojąca przy pianinie Rosalie przyglądała nam się z uśmiechem.

— Gotowe — oświadczyła jej współsiostra. — Teraz zasiądźmy wokół salaterki.

Posłuchaliśmy. Arcykapłanka misterium wzięła cztery talerze deserowe i rozdzieliła je między nas.

— Niech wszyscy kolejno wsuną ręce pod serwetkę. I wezmą tyle skorupek, ile tylko zmieści się w garści, a potem wysypią je na swój talerz. Gdy wszystkie talerze będą już napełnione, zliczy się punkty. Jeden za denko, trzy za górną skorupkę i pięć za obie w parze. Zgoda?

— Jeden, trzy i pięć — powtórzyłem. — To podstawa, moja droga Ginette.

— A potem postępuje się tak, jak w grze proponowanej przez Rody'ego.

— Inaczej mówiąc, z braku kostek musimy użyć muszelek.

— Brawo, wszystko rozumie pan jak trzeba. Kto zaczyna?

Zwróciłem się do Rosalie.

— Pani przypada ten wielki zaszczyt, moja droga.

— Czy to przywilej wieku?

— Nie, pani domu.

— Niestety, spełniam oba te kryteria.

Zagłębiła rękę pod serwetkę i wyciągnęła, stamtąd kilka skorupki. Pochyliliśmy się nad jej talerzem; w sumie miała piętnaście punktów..

Jako że przyjęliśmy kolejność zgodną z ruchem wskazówek zegara, wypadło teraz na mnie (szesnaście punktów), potem na naszego gościa (tylko samo) i wreszcie na Rody'ego (zaledwie czternaście).

Okrażenie stołu zabrało niecałą minutę.

Rody pozbył się z wdziękiem szkarłatnej chustki, którą miał wokół szyi.

— Czy biżuteria także się liczy? — zapytała Ginette.

— Nie — odrzekłem — albowiem trudno ją uznać za część garderoby.

— A więc nie muszę zdejmować moich kolczyków, naszyjnika, zegarka, bransoletki i moich dwóch pierścionków?

— Bylibyśmy skłonni je przyjąć, pod warunkiem, że potraktowałyby pani całość jako jeden fant. Ale ja osobiście wolałbym, aby je pani zachowała: Tak bardzo w nich pani do twarzy.

Uśmiechnęła się.

— Kłamczuch.— powiedziała.

— Widzi pani — podjąłem — najbardziej kłopotliwą rzeczą w grach hazardowych jest właśnie sam hazard...

Przesycaliśmy muszle do salaterki, która została nakryta serwetą, i zaczęliśmy od nowa.

Po trzeciej kolejce zrozumiałem, że w zamkniętej dłoni pełna skorupka małży zajmuje tyleż samo miejsca, co sześć lub siedem połówek, a przecież posiada wartość znacznie od nich większą. Zacząłem więc szukać raczej dużych niż małych skorupki.

Po dwudziestu minutach sytuacja, na całym froncie wyglądała następująco: Wszyscy zdjęli już buty. Rosalie, Ginette i Rody mieli już bose stopy. Mnie pozostała jeszcze jedna skarpetka.

W kwadrans później Rosalie i Rody byli już w samych majtkach.

Ginette przegrała więcej kolejek niż jej przyjaciółka, ale dysponowała bogatszą wyprawą: spódniczka i bluzeczka zamiast sukni, pończochy i pasek do pończoch zamiast rajstop. Miała więc jeszcze całą bieliznę w komplecie.

Bieliznę z białej koronki, koloru prawie że masy perłowej. I można było dostrzec ciemne sutki piersi poprzez jedną jej część i cień jasnego runa— przez drugą. Był to rozkoszny widok.

Jeśli chodzi o mnie, dzięki taktyce z wymacywaniem muszli brakowało mi tylko butów, skarpetek i paska. Dość powiedzieć, że musiałyby upłynąć jeszcze sporo czasu, aby damy mogły podziwiać mą nagość.

I wtedy właśnie zaproponowałem przerwę na trunki. Skorzystałem z nadzwyczajnej poprawności mego stroju, aby podać kieliszki i butelki. Jedna z pań naląa sobie kawy (utrzymywałem ją gorącą w elektrycznej kafetierze), druga wolała wodę gazowaną. Rody pił sok pomarańczowy, ja natomiast zafundowałem sobie małą zieloną szartrezę *on the rocks*.

— To nie wszystko — powiedziałem, podczas gdy każdy pociągał coś ze swej szklaneczki. — Jest jeszcze pewna rzecz, której nam panie jeszcze nie wyznały, proszę pań, a mianowicie dalszy ciąg programu.

— Jaki dalszy ciąg?

— Otóż gdy jedna lub jeden z nas będzie całkiem naga lub nagfj czyż przy kolejnej przegranej przyjdzie nam zedrzeć zeń skórę, jak w historii *Rajaha, który się nudzi* Alfonsa Allais? Może zostanie wyłączony z gry, podczas gdy inni będą rzecz kontynuować? Czy po prostu przyjdzie nam się na powrót ubrać i poprosić Rosalie, aby nam zagrała jedną z tych *Romanc bez słów*, które tak dobrze gra?

Obydwie panie spojrzwały po sobie w zadumie. Przełknąłem łyk *chartreuse*.

— A gdyby tak przegrywający zobowiązał się uiścić każdemu z trzech pozostałych odpowiednią stawkę? — powiedziała Rosalie.

— Go pani rozumie przez „stawkę”? — zapytała Ginette.

— Wszystko, czego tylko wygrywający zażąda.

— Ponadto — zauważyła Ginette — dlaczegoż by nie pozwolić pani wybierać? Bo w tej chwili to właśnie pani jest najbardziej zagrożona...

— A ja? — zapytał Rody.

— Istotnie, pan również. No więc proszę wyjawić swoje zdanie.

— Jestem gotów — oświadczył Rody.

— Zgoda — przytaknąłem również. — Niech tak będzie.

Uniosłem swój kieliszek.

— Za waszą wyobraźnię, miłe panie. Za waszą urodę. Za waszą szlachetność. — Już podczas następnej kolejki Rosalie musiała zdjąć majteczki.

Była już niemal noc.

Wstałem, zaciągnąłem kotary okna wychodzącego na balkon i zapaliłem lampę na pianinie.

Powróciłem na swoje miejsce. Czekali na mnie nic nie mówiąc, ponieważ to właśnie ja miałem zabrać głos jako pierwszy.

— Chciałbym móc ucałować jej stopy — powiedziałem.

— Chciałabym, aby ugryzła mnie w Ucho — powiedziała Ginette. — Uwielbiam, gdy ktoś gryzie mnie w ucho.

— Chciałabym ucałować jej lewą pierś — powiedział Rody. — Tę od serca.

— Cóż, same subtelne pragnienia — powiedziała Rosalie. — Kto zaczyna?

— Pani.

— Zgoda.

Nachyliła się w stronę swej przyjaciółki, która również skłoniła się ku niej, i delikatnie ugryzła ją w prawe ucho.

— Cudownie — mruknęła cicho Ginette. — Mam nadzieję, że teraz kolej na pana.

Rzuciłem się do stóp Rosalie i ucałowałem je z takim zapałem, z jakim czynili to pierwsi chrześcijanie na obrazkach z mojego dziecięcego katechizmu.

50

Potem Rody przez dłuższą chwilę pieścił wargami jej pierś. Kiedy się wreszcie oderwał, na brzoju jej skóry połyskiwała odrobina śliny.

Za następną kolejką to właśnie on stracił ostatnią część garderoby.

Sytuacja stawała się coraz bardziej delikatna, ponieważ — w przeciwieństwie do Rosalie — nie mógł ukryć emocji, jaką zrodziły w nim ostatnie minuty gry. Jednocześnie nie sposób było nie zauważyć owej rzeczy, która zarazem radowała go, jak i wprawiała w zakłopotanie. Lecz moja ukochana znalazła wyjście z sytuacji. — Chciałabym złożyć całuska na jego fifaczku — powiedziała.

— Chciałbym, żeby mi jutro rano wyprasował koszulę-wypowiedziałem z kolei swe żądanie.

Zaprotestowano (spodziewałem się zresztą tego).

— Dobra. Wobec tego chciałbym, żeby znów pocałował Rosalie, ale tym razem w prawą pierś.

— Chciałabym mu złożyć drugiego całuska — powiedziała Ginette. — Dokładnie w tym samym miejscu.

Panie zabrały się do dzieła. Nie spieszyły się zbyt. Zdawało mi się, że ta druga, którą widziałem z profilu, nieco zbyt śmiało operowała językiem. Potem — również z dużym zaangażowaniem — spełnił swą misję Rody.

Przy następnej kolejce straciłem koszulę. A później, raz za razem, Ginette musiała pozbyć się swego ślicznego staniczka i delikatnych koronkowych majteczek.

Właśnie na tę chwilę czekałem, aby rozkręcić akcję.

Pozostała dwójka znów zażądała całusków to tu, to tam. Lecz w końcu przyszła moja kolej.

— Chciałbym — powiedziałem wyraźnie — żeby Ginette opadła na czworaki, tak byśmy mogli podziwiać jej pupę.

Zaczerwieniła się gwałtownie.

— Sądzi pan... — powiedziała zaskoczona. Rosalie uśmiechnęła się do niej.

— Jak mi wiadomo, moja droga, jest to zabieg, który

nie powinien nikogo z nas stawiać pod pręgierzem. Nieprawdaż?

— No tak, oczywiście.

Rody i Rosalie wykonali swoje całuski, po czym Ginette odwróciła się do nas plecami i spełniła moje żądanie. Zbliżyliśmy się do niej (zwłaszcza ja).

Miała dość ładne pośladki, jeszcze jędrne i zaokrąglone. Dzieląca je bruzda rozwierała się agresywnie. Kilka zdobiących ją figlarnych blond włosków u samego wylotu wносиło w ciemne miejsce promyk słońca, który rozjaśniał mroki wokół złotego luidora. Nieco niżej, pośrodku gęstniejącego runa, jawiła się jej vulwa, jędrna i mięsista, rzekłbyś, przywodząca na myśl soczysty owoc fifi.

Ten znakomity a nieoczekiwany spektakl wyzwolił we mnie jedną z owych rzadkich filozoficznych myśli, których życie dostarcza nam w najlepszym wypadku jedynie dwa lub trzy razy w ciągu naszej przydługiej egzystencji. Otóż pojąłem nagle, że to właśnie pozycji stojącej zawdzięczamy poczucie wstydu, albowiem to głównie ona ukrywa seks kobiecy.

Będąc sprawcą tej ekspozycji uznałem, że moim obowiązkiem będzie oddanie czci jej ośrodkowi, i uczyniłem to za sprawą dptyku. Skłoniwszy się ku owemu ponętnemu zadkowi, uhonorowałem go długim posuwem języka, przebiegającym z dołu, od najgłębszej części bruzdy, aż po sam jej wierzchołek.

Ginette zadrzała, roześmiała się cichutko i odwróciła ku nam. W jej oczach pełgały dziwne błyski.

— Kto będzie następną ofiarą? — zapytała.

— Możemy przerwać tę zabawę — mruknąłem — jeżeli tylko ma pani lepszy pomysł.

— O tak — stwierdziła krótko. — Tak przynajmniej sędzę. Chcę, żeby również i on mnie pocałował.

Wskazała palcem mego brata.

— I to zaraz — dodała.

— Tutaj? — zapytał Rody.

— Gdziekolwiek pan zechce.

Jej głos stał się jakiś dziwnie chropowaty. — Niech pan tu zaraz przyjdzie — dodała. — Szybciutko. Boję się. — Przymknęła oczy.

Chyba już wspomniałem, że od pewnego czasu Rody utrzymywał swój oręż w stanie gotowości-bojowej. Zbliżył się do Ginette i legł tuż obok niej. Wyciągnęła się na plecach, więc nadział ją bez najmniejszej choćby pieśczo-ty wstępnej i delikatnie przeniknął. Zaczęła pojękiwać.

— Mocniej — bełkotała. — Mocniej! I głębiej, mój śliczny kochasiu... ;— Uniosła biodra i pieściła dłońmi jego ramiona.

A Rody działał wyjątkowo starannie. Wiedział, że oto właśnie poddano go egzaminowi, w ramach którego bezpośrednią egzaminatorką była rzecz jasna Ginette, podczas gdy Rosalie przypadły obowiązki przewodniczącej jury. Od stopnia, jaki miał dziś otrzymać, zależał być może nie tyle jaki kęs jego najbliższej przyszłości.

Ja osobiście nie dałbym mu więcej niż tróję z plusem. Niemniej słysząc wydawane przez Ginette jęki, można było odnieść wrażenie, iż egzaminatorką będzie o wiele bardziej wyrozumiała. (Tym lepiej).

Przypominacie sobie może, że jako jedyny spośród czwórki graczy w strip-shell byłem wciąż jeszcze ubrany.

Miałem na sobie i slipy, i spodnie. Ta dysproporcja musiała się nagle wydać Rosalie nieznośna, poczęła bowiem ściągać ze mnie szaty, których obecność stała się nagle w jej oczach czymś nader nieprzyzwoitym.

Zezwoliłem na wszystko bez sprzeciwu. Wszak muszle spełniły już swoją rolę, a nasze przyodzenie miało odegrać swoją.

Zaczęła od małych lizawek, z pozoru całkiem niewinnych. Zwinąłem się zatem w kłębek, czyniąc to w taki sposób, by móc jej być wzajemnym. Jej asfodel był pełen rosy, którą wdychałem z prawdziwą rozkoszą.

Ześrodkowując uwagę na mym ukochanym fiutasku, pomrukiwała z cicha.

Musieliśmy zapewne nielicho się prezentować, ot, wszyscy czworo, zajęci bez reszty sobą i rozciągnięci na podłodze salonu.

Tyle że tutaj nikt na nikogo nie patrzył...

Rosalie krzyknęła nagle głośno, czyniąc to dokładnie w chwili, gdym ledwie zaczął opróżniać me biesagi wprost do jej ust, co pozwoliło mi przyoszczędzić pokaźną część mych zapasów, przeznaczając je na raz następny. Jest to jeden z mych sposobów godziwego zaspokajania klientek. Powstrzymałem się więc gwałtownie i wykonałem strategiczny odwrót.

Ginette i Rody kończyli właśnie zmagania, ku obopólnej — jak można było wnosić — milczącej satysfakcji. Nie poruszali się już, mieszając teraz swe oddechy w równoległym posapywaniu.

Odczekałem minutę lub dwie, a potem zaproponowałem wszystkim małego drinka. Nikt mi nie odpowiedział.

Uczyniłem więc łagodną sugestię, że chyba nie zgrzeszę pijąc po prostu sam.

Stałem właśnie przed stolikiem, odwrócony plecami do szanownego zgromadzenia, lejąc wodę sodową i wrzucając lód do półtora cala szkockiej, gdy wtem para czyichś ramion otoczyła znienacka moją szyję.

— Ach, łotrzyku, dlaczego pozbawił mnie pan samego zakończenia? — szepnęła Rosalie przysunąwszy wargi do mego prawego ucha.

— Wie pani doskonale: ażeby móc jeszcze raz zacząć od początku. Moje zasoby mają jednak swój kres. A przyjdzie mi jeszcze pewnie zadośćuczynić Ginette. Czyż nie?

— W jaki sposób, bandyto?

— Muszę pani wyznać, że odkąd tylko ujrzałem ową lśniąca pięciofrankówkę zawartą pomiędzy jej krągłymi pośladkami, mam straszliwą ochotę nanizać tę małą trzpiotkę od tyłu. Bo jakżeby inaczej?

— Ale wcześniej musi pan nawlec mnie, rozbójniku! Minęły już przeszło dwa tygodnie, odkąd zabawiamy się razem, a pan mi jeszcze nigdy tego nie uczynił!

— Ponieważ żywię dla pani dogłębny szacunek, moja droga. Jest to zaszczyt, o który długo należy zabiegać u dam. Bo widzi pani, większość z nich wzbrania się przed tym.

— I sądzi pan, że akurat Ginette' nie będzie się wzbraniać?

— Nic mi w tej mierze nie wiadomo — odrzekłem. — Ale i tak gwizdzę na nią. To nie to samo, co pani. A ponadto pozwoli pani, że jej pogratuluję. Znakomicie ją pani przygotowała do naszych małych rozpsot.

— Sądzę, że ona sama była już gotowa. No więc, nadzieje mnie pan od tyłu, mój urwisku?

— Teraz?

— A czemuż by nie?

— Nie. Nie w ich obecności. Albowiem jest to coś, co winno pozostać między nami, jeżeli już do tego dojdzie. Nikogo to nie powinno obchodzić.

— Niech pan na mnie spojrzy.

Odwróciłem się w jej stronę. Kiedy stała bez butów na wysokich obcasach, jej usta sięgały wysokości mojego podbródka.

Wspięła się zatem na palce i musnęła językiem moje wargi.

— Jakież pan jest zabawny, Gwen.

— Doprawdy?

— Nie znam nikogo, kto byłby do pana podobny.

— Mówi pani o młodych mężczyznach do towarzystwa?

— Cóż za określenie!

— Moje własne.

— Nie, raczej obiegowe.

— No więc, droga Rosalie, jest tutaj ktoś, kto bardzo mnie przypomina, nie tylko z tej przyczyny, iż jest moim bratem, ale również dlatego, że zawdzięcza mi swoją edukację.

Zamyśliła się.

— Właściwie czemu nie? — stwierdziła w końcu. Niemniej, to zdanie nie mogło się odnosić do tego samego obiektu, co poprzednie.

Dopiłem drinka, odstawiłem szklaneczkę na stolik i wziąłem Rosalie w ramiona.

— A co teraz sprawiłoby pani przyjemność, moja droga?

— Nie wiem. Zapewne to samo, co i panu.

— A więc chodźmy do tamtych.

Nadal leżeli w bezruchu. Przebyliśmy pięć lub sześć kroków dzielących nas od nich. Trzymałem Rosalie za rękę. Ginette przyglądała się nam badawczo.

— Czy mogłabym teraz dostać tego drugiego pana? — zapytała łagodnie.

Rosalie ścisnęła moją dłoń.

— Co pan o tym sądzi, Gwen?

— To samo, -co i pani.

— No więc zgoda.

Dziękuję — powiedziała Ginette. —A teraz chętnie bym się napiła.

— Do usług. Czego sobie pani życzy? — Szkocką, mocno rozcieńczoną.

— Woda sodowa?

— Tak, proszę pana.

— Z lodem?

— Jeśli pan ma.

— Mam. Ty też czegoś chcesz, Rody?

— Zostaw. Sam się obsłużę.

— Okay.

Staliśmy znów przy stoliku.

— W porządku? — zapytałem brata.

— Całkiem niezła. Ale trochę nerwowa. Trzeba ją powstrzymać, żeby nie szła za szybko. Jest raczej dogłębna niż powierzchowna; nie męcz się z jej drażniulką, bo nie wywołuje to u niej prawie żadnego efektu. Ją trzeba posuwać w głąb.

— W porządziu. A poza tym jak było?

— Całkiem całkiem. Choć mimo wszystko ma nieco za szeroką furę: wchodzi się w nią jak w przerębel.

— Czy już kiedyś zdarzyło ci się coś takiego? W końcu to przecież nie taka rzadka sprawa...

— Jasne, że tak. Ale ta to już doprawdy model „haubica”.

Powróciłem ze szklaneczką wody sodowej zakropionej nieco whisky. Ginette powstała z miejsca.

— Dziękuję — powiedziała. — Proszę to tam postawić. Zaraz wracam.

Wyszła do łazienki.

— Czy pani niczego sobie nie życzy, Rosalie?

— Nie. Wie pan przecież, że niemal wcale nie piję.

— Cóż, nie podsumowałem jeszcze wszystkich pani cnót.

Usiadła na stołku od pianina i zagrała jednym palcem śliczny temat adagia z *Wanderer fantaisie*. Udałem się do kuchni, żeby wziąć fartuch, który owinałem sobie wokół bioder. Potem wyszedłem na balkon. Niebo było jeszcze dość jasne, lecz już niebawem na zewnątrz winna zapaść rozkoszna noc.

Dołączyła do mnie jakaś postać spowita w ręcznik kąpielowy.

Gdy przytuliła się do mnie, rozpoznałem Ginette.

— Czy nie ma part nic przeciwko temu — szepnęła — żeby się ze mną troszeczkę pokochać?

— Ależ skąd, wręcz przeciwnie. Pani jest wprost rozkoszna.

— Rody był znakomity. Ale chciałabym bardzo móc was porównać. Ciekawość to grzech typowo kobiecy, nieprawdaż?

Otoczyłem jej plecy ramieniem.

— Ciekawość nie jest grzechem, moja droga Ginette. Ci, którzy tak mówią, hołdują ciemnocie; pozbawieni ciekawości żylibyśmy chyba jeszcze w epoce kamiennej.

— Jest pan naprawdę bardzo inteligentny, Gwenie.

— Cóż znowu pani ćwierka, droga przyjaciółko?

— Właśnie sama zadaję sobie pytanie, dlaczego ten chłopak, który posiada wszelkie dane po temu, by zrobić błyskotliwą karierę, obrał sobie taki, hm, trochę nienormalny tryb życia?"

— Uff, tego się właśnie bałem. Proszę zapytać o to Rosalie. Nie dlatego, aby miała obowiązek przemawiać w moim imieniu, lecz z tej prostej przyczyny, że wszystko na ten temat już jej powiedziałem i nudzi mnie powtarzanie wciąż tego samego.

— Nie zechce mi pan dać nawet jakiegoś krótkiego wyjaśnienia? Choćby w dwóch zdaniach?

— I owszem. Primo: nad wszystko inne przedkładam towarzystwo pań. Secundo: żywię upodobanie do przygód miłosnych, uciech i tego, co nieprzewidziane.

— A cóż dzieje się wówczas, gdy zdarzy się panu przywiązać do kogoś?

— Wcale nie mam ochoty roztrząsać tego pytania. Ale mogę się pani zwierzyć z jednego: ostatnio zmagam się z myślą, czy aby właśnie teraz nie zdarza mi się coś takiego.

Westchnęła.

— Wracam, żeby dopić drinka. Wcale bym nie chciała, żeby Rosalie zaczęła sobie wyobrażać nie wiadomo co.

Zawróciła. Ruszyłem w ślad za nią. Rosalie włożyła prześliczny peniuar i znów zaczęła brzdąkać na pianinie. Koło stolika Rody, otulony we włochaty ręcznik, obierał mandarynkę.

Przysiadłem się doń i począłem robić to samo.

Ginette zbliżyła się do swej przyjaciółki i ucałowała jej ramię poprzez jedwab.

— Jest pani wprost cudowna, Rosalie — szepnęła.

— Pani też, moją drogą, Czy sądzi pani, że gdyby jej tu nie było, moje dwa łobuziaki okazałyby się równie gorliwe w swoich poczynaniach?

- Nie wiem.
- Czy nie bawiłby pani ich widok „ćwiczących” ze sobą? Zdaje się, że byłby to interesujący spektakl.
- Kto to pani podsunął?
- Gwen. Lecz proszę wziąć pod uwagę, że może tylko tak się przechwalał.
- Byłoby jednak o wiele bardziej zabawne, gdyby zechcieli „poćwiczyć” ze mną.
- Obydwaj naraz?
- A co pani o tym sądzi?
- W tej dziedzinie mam tylko trzy chybione doświadczenia. Lecz nasi młodzi ludzie bez wątpienia mają za sobą stosowną edukację.
- No więc... chce pani?
- Naturalnie. I nawet bardzo jestem ciekawa takiego widoku.
- Ach, pani też?
- .Co wobec tego?
- Nie, nic. A więc zapyta ich pani? Rosalie rzuciła jej kpiące spojrzenie.
- Czyżby nieśmiałość?
- Poniekąd tak...
- Rosalie wstała i podeszła do nas.
- Powiedzcie mi, młodzi ludzie, czy czujecie się teraz w stanie zająć się we dwójkę naszym gościem?
- Razem? — zapytaliśmy unisono.
- Tak.
- A czy ona jest w stanie poddać się naszym pieścizotom?
- Wygląda na to, że tak. Rody zwrócił się do mnie:
- I cóż z nią poczniemy?
- Ja tam wiem, co. Nadzieję ją od tylca. W przeciwnym razie nawet palcem nie kiwnę.
- Rosalie słabo protestowała.
- Niech pan posłucha, Gwen...

— Błagam panią, Rosalie. Obiecałem pani załatwić tę kwestię zgodnie z jej życzeniem, ale bez świadków. Jestem gotów to zrobić choćby zaraz. Chce pani, abyśmy przeszli do sąsiedniego pokoju?

Spojrzała mi prosto w oczy, a potem odwróciła wzrok.

— O nie — powiedziała. — " To nie byłoby zbyt eleganckie.

— Zgoda, rezygnuję. Za nic w świecie nie chciałbym stracić w pani oczach.

— Dziękuję, mój drogi. Zwróciłem się do Rody'ego.

— Ona będzie ci ciągnąć, a tymczasem ja wezmę ją „na charcicę", dobra?

— Okay.

— Siądziesz w tamtym fotelu po prawej. Zasiadł w nim. Podeszedłem do Ginette.

— Niedawno dała pani małego całuska temu łotrzykowi, którego ma Rody. A teraz da mu pani wielkiego całusa, zgoda? Jednocześnie ja zajmę się pani sasanką. Dzięki temu dwoje pani dźwierzy zyska sobie godziwe zajęcie.

Nie odpowiedziała, lecz skierowała się w stronę Ro-dy'ego i uklękła przed nim. Miałem wrażenie, że jej oczy płoną jakimś dzikim ogniem.

Rody odrzucił ręcznik, który przysłał mu podbrzusze. Jego lotos zwisał między udami, pulchny i ospały.

Ginette pochyliła się, wzięła koronę kwiatu pomiędzy wargi i zaczęła żuć ją w rozmarzeniu. W ciągu następnych sekund w jej ustach musiało się coś wydarzyć, ponieważ rozwarła szerzej szczęki i odchyliła łagodnie głowę.

Ten właśnie moment wybrałem, aby wkroczyć do akcji. Uniosłem ręcznik kąpielowy okrywający jej pupę i pogładziłem łagodnie krocze.

— Niech się pani pochyli nieco ku przodowi, kochanie — szepnąłem jej do ucha. — Ale wpierw proszę rozciągnąć szerzej nogi.

57

Uczyniła, jak chciałem. Miała naprawdę prześliczny tyłeczek. Żałowałem, iż muszę dotrzymać obietnicy danej Rosalie. Ale odbiję to sobie. Nie dziś, to jutro.

Uklękłem za Ginette, przysunąłem się bliżej i przeniknąłem w głąb rozchylonej figi. Rody przesadził: jej miąższ był gorący, ale nie nazbyt przejrzasty i rozlewny, tak że godziwie odczułem skutki mej inwazji. Prawdą jest jednakowoż, że pozycja, jaką przyjęliśmy, sprzyjała zwarciu się ściany tunelu.

Rychło też nasza rozplomieniona partnerka zgrała ze sobą ruchy ust i bioder. Ja też dostosowałem swoje do amplitudy jej „tam i z powrotem”. Wydawała drobne urywane jęki i wzdychała: „nie opuszczaj mnie, och, nie opuszczaj...” Było to dość przyjemne, a zarazem nieomal dostojne.

Znajdowałem się jakby na rozdrożu, osiągnąwszy ów moment szczególnego podniecenia, gdy oczekuje się czegoś i jednocześnie bardzo się boi, choć owo zbliża się nieuchronnie. I wówczas z nagłą poczułem, jak w czeluść mego tyłka wsuwa się czyjś delikatny język, wywołując milutkie, dogłębne łaskotanie.

To wystarczyło, abym ja również zaczął pojękiwać. Wkrótce do naszych odgłosów dołączył Rody. Zrozumiałem, że ogarnęły go konwulsyjne drgawki, które z kolei udzieliły się Ginette, ponieważ całe jej ciało jęły przebiegać dreszcze.

Jestem przekonany, iż jednocześnie doznaliśmy ulgi i że nasza jakże zacna powieściopisarka otrzymała podwójną rację obroku, chłonąc fontanny dwóch bliźniaczych wytrysków, od tyłu i od przodu.

Na dobrą chwilę zamarliśmy w bezruchu, iżby nieco odsapnąć, splątani bezładnie ze sobą.

Atoli niestrudzony język Rosalie kontynuował namiętne zgłębianie mojego tyłka.

7

Pewnego wieczoru, a było to chyba we wtorek 26 czerwca, kiedy próbowaliśmy odetchnąć świeżym powietrzem na balkonie domu przy bulwarze Viktora Hugo, co — pomimo gęstwy kasztanowców — nie jest wcale łatwe z uwagi na dum samochodów, Rosalie zapytała mnie nagle:

— A co by pan powiedział, gdybyśmy jutro rano odbyli-morską wycieczkę?

— Wie pani dobrze, moja droga — odpowiedziałem jej na to z galanterią — że zawsze bardzo chętnie uczestniczę w pani przyjemnościach.

— Tak. Ale czy panu także sprawiłoby to przyjemność?

— Z całą pewnością. Bo uwielbiam morze. I prawdopodobnie daleko mi jeszcze do zafundowania sobie statku.

— Mnie również — powiedziała Rosalie. — Toteż nie pozostaje nam nic innego, jak tylko korzystać z cudzego. Otóż mam przyjaciela, który zaprasza nas właśnie do skorzystania z jego statku.

— Kto nas zaprasza? — uznałem za właściwe zapytać. — Albo kto panią zaprasza?

— Rzecz jasna, zaproszenie było skierowane do mnie, lecz nie ulega wątpliwości, iż powinien pan z niego skorzystać.

— Hm, właśnie się zastanawiam.

59

- Może pan być pewien. Mówiąc między nami, w ogromnym zaufaniu, Paul-Louis woli panów niż panie. Gdybyrn miała siedemnaście lat, ni mniej, ni więcej, być może dałby się skusić. Ale w moim wieku...
- Niech pani przestanie mówić o swoim wieku, Rosalie. Gdyż odczuwam to zawsze jako osobisty afront.
- Przepraszam. No więc Paul-Louis wcale się mną nie interesuje, ot i cała historia.
- A czym on się właściwie para poza żegluga?
- Maluje.
- Obrazy?
- Niekiedy obrazy, niekiedy ściany. Zarabia na życie dekorując halle budynków i restauracji. Widzi pan, nie brak mu talentu. Miał nawet swój okres chwały i zaszczytów, czy może raczej był bliski czegoś takiego tuż po wojnie, w czasie pięknych dni Saint-Germain-des-Pres.
- Musiałem się chyba urodzić o piętnaście lat za późno, moja droga. Bo wszystko to nie robi na mnie większego wrażenia.
- Mój Boże, ten chłopak jest wprost irytujący! Więc chce pan jechać ze mną? Tak czy nie?
- Tak.
- Dziękuję. Jestem wrażliwa na pańskie współczucie. Sądzę, że wyruszymy około jedenastej z Golfe-Juan, gdzie ten statek stoi przycumowany. Jego właściciel proponuje nam wypad na wysepki Lerins.
- To okropne!
- Niech pan wpadnie po mnie około jedenastej, dobrze? Zastanawiam się, czy nie wolałabym jednak mojego mikrobolidu od tego pańskiego monstrum na dwóch kołach.
- Obiecuję, że będę jechać ostrożnie.
- Będzie pan wręcz do tego zmuszony, bo w przeciwnym razie pójde pieszo.
- Jeśli dobrze rozumiem — dodałem — urządzimy sobie tam na miejscu piknik.

— W samej rzeczy.

— Chce pani, abym się zajął koszem z wiktuałami?

— Nie. To przecież PauJ-Louis nas zaprasza.

— Ale może on nie wie, że będziemy we trójkę?

— Dowie się o tym już za dziesięć minut. Proszę tylko zabrać dwie butelki czerwonego belleta. Na pewno się ucieszy.

— A więc przyniosę trzy.

— Dobranoc, Gwennie. Niech mnie pan dziś wieczór zostawi samą. Jestem zmęczona. Ta narzeczona mojego latarnika po prostu mnie wykańcza.

To ostatnie zdanie, przypominające zaszyfrowaną wiadomość Radia Londyn, było czytelne jedynie dla wszystkich przyjaciół Rosalie: *Narzeczona latarnika* — tak brzmiał tytuł powieści, którą właśnie kończyła. Jeśli wkładała tyle samo wysiłku w pisanie tych swoich historii, ile ja w ich czytanie, zapewne lepiej byłoby, gdyby po prostu jęła się pracy w kopalni. (Po namyśle: choć jednak nie, gdyż pisanina dawała jej większe korzyści).

Pocałowałem ją i ruszyłem spacerem do domu.

Nazajutrz rano, ledwie wyskoczyłem z łóżka, pobiegłem na ulicę Francuską, żeby kupić sobie nowe spodenki kąpielowe. Rosalie nigdy do tej pory nie widywała mnie inaczej, jak tylko ubranego lub całkiem nagiego, toteż miałem ochotę zrobić na niej dobre wrażenie. Nabyłem sobie czarujące majteczki z jedwabiu kanarkowej barwy, zdobione meduzami i latającymi rybami.

Była dziesiąta pięćdziesiąt, kiedy zadzwoniłem do drzwi Rosalie. Była już gotowa; cóż za cudowna kobieta.

Przyniosłem dla niej przezroczysty płaszcz dla ochrony przed kurzem i duży biały kask z wizjerem, w którym wyglądała jak astronauta.

Taszcząc w torbie trzy dobrze zabezpieczone butelki, wyruszyliśmy w zaiste umiarkowanym tempie: Promenada i okolice — sto do stu dziesięciu, trasa Saint-Lau-rent-du-Var i Cagnes-Sur-Mer — dziewięćdziesiąt do

stu, mały odcinek na równinie La Braque — w tempie stu czterdziestu. Moja ukochana doprawdy nie miała powodów do narzekania.

O jedenastej dwadzieścia pięć stanęliśmy na kei basenu portowego Golfe-Juan, przed „Zjawą”, stateczkiem Paula-Louisa.

Była to dość ładna łódź motorowa o długości dziesięciu metrów, z kabiną mostkową (czy tak się to nazywa?) i silnikiem pod pokładem.

Paul-Louis S. miał już sześćdziesiątkę, niebieskie oczy, siwiejące włosy i starą marynarską czapkę z wyszytą na niej kotwicą. Powitał nas serdecznie, a odkrywszy belleta wydał radosny okrzyk. Wskoczyliśmy na pokład i zwiedziliśmy dwanaście metrów sześciennych pojemności małego stateczku (Gdyby w kabinie jakieś dwie osoby uprawiały miłość, ta trzecia, leżąca na górnej koi, musiałaby bez przerwy uderzać głową o strop).

Kapitan uruchomił silnik. Było dość cicho. Opuściliśmy nasze miejsce postoju, w zwolnionym tempie osiągnęliśmy wyjście z basenu, a gdy tylko ukazało się przed nami morze, Paul-Louis zwiększył szybkość. Stateczek przysiadł na zadzie i ruszył gwałtownie do przodu, znacząc na wodzie ciemny ślad.

Szybkiej jednostce wystarczy zaledwie dziesięć minut, aby dotrzeć z Golfe-Juan do wysp Lérins. Przyłodek Antybów pozostał po lewej burcie, a przed nami rozpościerał się horyzont.

Przystanęliśmy obok Sainte-Marguerite i tej małej wysepki położonej o kilka węzłów od jej wschodniego cypla, która nosi prześliczną nazwę La Tradeliere. Naszym celem była inna skała, położona w podobny sposób obok Saint-Honorat, nosząca nazwę Saint-Ferreol. Jest ona nieco mniejsza i nieco bardziej podługowata, mieliśmy zatem więcej szans, iż nie spotkamy tam nikogo.

To było właśnie to. Po pełnym morzu kręciły się jeszcze dwa lub trzy stateczki. Paul-Louis rzucił kotwicę

w maleńkiej zatoczce, położonej u południowo-wschodnich brzegów wyspy, niewidocznej ani z lądu, ani z Sa-int-Honorat. A potem -zeskoczyliśmy na brzeg.

Chronieni trójzębem Neptuna, wylądowaliśmy dokładnie za»pięć dwunasta, akurat w porze pastisu.

Jedna z szafek kabiny kryła całą kolekcję butelek, które z pewnością w znacznie większym stopniu przyczyniały się do wygarbowania na specyficzny kolor skóry kapitana niżli samo słońce. Wyjęliśmy Casanisa, mój ulubiony trunek, manierkę ze słodką wodą i beczułkę z lodem.

Posiłek upłynął w wesołym nastroju: surówki w an-Choidzie, wędzony łosoś, clementines i kawa. Przyozdobiłem menu kilkoma muszelkami, wydobytymi ze szczelin w sąsiednich skałach.

Po półgodzinnej sjeście znów odbiliśmy od brzegu. Paul-Louis wpadł na pomysł, aby przewieźć nas kilka mil po pełnym morzu, żebyśmy mogli wykąpać się w głębszej, a więc i czystszej wodzie. Rosalie stwierdziła, że jest dobrą pływaczką, a zresztą nic nie zmusza jej do oddalania się od łodzi. Jeśli idzie o mnie, już dawno temu zrozumiałem, że takie samo niebezpieczeństwo grozi człowiekowi, gdy ma trzy metry wody pod brzuchem, jak i wówczas, gdy ma ich aż trzysta. Wielkie głębokości nie robią na mnie wrażenia. W tym samym czasie, gdy wyspy Lerins rysowały się za nami coraz słabiej, z dala, po naszej prawej burcie, jał defilować sam skraj Eésterelu. Byliśmy niemal całkiem sami. Motor pracował na zwolnionych obrotach. Nie słyszeliśmy żadnego odgłosu prócz warkotu silnika, który zresztą też w końcu wsiąkł w ów morski krajobraz. Przed naszymi oczyma rozpościerała się zachwycająca i wciąż zmienna panorama.

Po dwudziestu minutach Paul-Louis wyłączył silnik. Teraz pozostał już tylko plusk fal i szmer przecinanej dziobem wody. Przez chwilę kapitan pozwolił stateczkowi posuwać się siłą rozpędu. Lecz gdy ten zatrzymał się

w końcu, niczym zdyszany koń, rzucił za burtę starą rdzawą kotwicę, obciążoną dodatkowo kawałkiem ciężkiego łańcucha, i pozwolił jej powlec za sobą długi konopny sznur, który chyba także pamiętał lepsze czasy. Zrobiwszy to, zawołał wesoło:

— A teraz prosto w balie, moje wy kanalie! Rozebrał się całkowicie i skacząc głową w dół dał nura do wody.

Wynurzył się o kilka sążni dalej, otarł dłonią roześmianą twarz i zawołał do nas:

— Hej tam, zmokłe kury! Idziecie czy nie? Ta woda jest wprost boska!

Rosalie przeszła do kabiny, aby przywdziać swój kostium kąpielowy. Ja osobiście czułem się nieco zakłopotany: gdybym włożył swój, wyglądałoby to, jakbym chciał udzielać gospodarzowi lekcji wstydlivosti, co nie leżało wcale w mej naturze; lecz gdybym go nie włożył, cały mój jakże rozkoszny poranny sprawunek okazałby się czymś zupełnie bezcelowym.

Lecz oczywiście górę wzięła miłość własna. Rozebrałem się, ułożyłem starannie ubranie na małej ławeczce biegnącej wzdłuż burty i skoczyłem do wody. Gdy Rosalie wynurzyła się z kabiny, apetyczna, dość ładnie wyglądająca w swym jednoczęściowym ciemnoniebieskim kostiumie, ja znajdowałem się już o kilka metrów dalej. Moja przyjaciółka zawiązała chustkę na głowie, aby osłonić włosy. Zanurzyła wpierw stopy, a potem wskoczyła do morza i popłynęła w moją stronę. — Tylko proszę nie oddalać się zbyt — powiedziałem do niej, kiedy już dołączyła do mnie. — Wprawdzie lubię stosować wobec pani metodę usta-usta, ale w zupełnie innych okolicznościach.

— Przecież pan widzi, że radzę sobie całkiem dobrze! — odparła nieomal ze złością.

Paul-Louis płynął czałem i oddalił się znacznie. Od czasu do czasu widać było tylko któreś z jego ramion wynurzające się z wody, aby znów się w niej pogrążyć.

Była to jedyna wskazówka pozwalająca przypuszczać, że jeszcze żyje, jako że jego głowa nie wyłaniała się wcale. Trwało to przeszło kwadrans. Potem Rosalie powiedziała do mnie:

— Pójdę trochę odpocząć.

Towarzystwem jej aż do burty, pomogłem się na nią wspiąć i znów się oddaliłem.

Ja także byłem już trochę zmęczony, lecz świeżość płynnego żywiołu była tak rozkoszna, że nie miałem wcale ochoty na zakończenie kąpeli. Poza tym umiem znakomicie pływać na wznak: jestem w stanie utrzymać się na powierzchni wody bez względu na stopień jej falowania i niemal w każdej pozycji.

To było zabawne: lekkie kołysanie unosiło mnie delikatnie w górę, to znów ściągało w dół.

— I po co pani wychodziła? — zawołałem do Rosalie. — Proszę tu do mnie wrócić! Nauczę panią pływać na wznak! Skinęła głową.

— Zaraz! — odpowiedziała. — Niech mi tylko pan pozwoli cokolwiek odsapnąć.

Dałem jej znak, że owszem, i przymknąłem oczy. Była rzeczywiście bosko...

Trwało to jakiś czas, sam nie wiem... Trzy minuty? Siedem? Dwanaście?.

Później usłyszałem tuż obok siebie jakieś niezdecydowane pluśnięcie, odgłos, którego nie mogła wydać żadna fala.

Nie było nawet czasu, aby wpaść w zdumienie. Mój szczygiełek, który drzemał sobie spokojnie na słońku, nie przeczuwając niczego złego, został nagle ucapiony przez coś w rodzaju pijawki, przez jakąś machinę ssącą, która wchłaniała go haustami jakoby jęczmienny sól.

Oczywiście moim pierwszym odruchem było ugiąć nogi. Mój tyłek zaciążył niczym ołów i nagle znalazłem się w takiej pozycji, że poziom wody skoczył o dobre trzydzieści centymetrów powyżej moich nozdrzy.

Gwałtownie chlupnąłem w głąb. Kiedy się wynurzyłem, poczerwieniały z wściekłości, ujrzałem niedaleko mej twarzy gębf tego koszmarnego debila, Paula-Louisa. Sprawiał wrażenie kogoś znajdującego się u progu apopleksji. — Pozwól mi — mękolił i popłakiwał. — Błagam cię, pozwól. Nigdy jeszcze nie widziałem takiej kusi jak twoją... Miałem straszliwą ochotę przybombić temu świńskiemu pedałowi w szczękę, lecz sami rozumiecie, człowiek nie zawsze może czynić zadość swym odruchom. Rzuciłem okiem w stronę łodzi.

Oparta o reling, Rosalie kontemplowała nas z rozmarzoną miną. Zrozumiała moje spojrzenie i wyciągnęła ramię z zaciśniętą pięścią i z kciukiem skierowanym w dół: Vae victis! Biada zwyciężonym. Tak, ale kogo tu miała na myśli? Westchnąłem. W gruncie rzeczy jestem zbyt dobry: nie mogę się powstrzymać od sprawiania ludziorą przyjemności. — No to już! — warknąłem do tego durnia, który lamentował tuż obok mnie. — Ale uprzedzam, jeśli łyknę przy tym choć trochę wody, zarobisz potężnego kopa prosto w mysikróla!

Przyznaję, że nie była to propozycja zbyt pociągająca. Ale ten kretyń o mało nie zwariował ze szczęścia.

— Nie bój się — wybełkotał. —Będę uważał. I to jeszcze jak.

I znów się przypiął do mojego ptaszka, który bynajmniej nie - okazywał dobrego humoru, jakiego tamten zapewne się spodziewał, ponieważ musiał go żuć przez -bardzo długą chwilę, zanim osiągnął pożądaný efekt. Lecz w końcu obiekt jego zabiegów z jędrniał, zgodnie z ogólnymi zasadami pęcznienia materii organicznej.

Był to dość interesujący widok: ja w pozycji na wznak, z przymkniętymi oczyma, podczas gdy Paul-Louis, utrzymujący się z trudem na powierzchni tuż obok mnie, wysysał mi sumiennie żądło.

Woda daje mężczyźnie następującą korzyść: jaja unoszą się w niej, to znaczy że nie zwisają i że stają się jakby nieważkie. Nie wiem, czy ta osobliwość ma jakiś wpływ na ożywienie procesu rozrodczości, aliści faktem jest, iż nie musiałem nazbyt długo czekać i co rychlej bryznąłem strumieniem zacierki w głąb paszczy niemowlaka-amatora smoczków.

Połknął wszystko jednym tchem.

Tuż . obok siebie usłyszałem śmiech, śmiech czysty i świeży. Odwróciłem głowę: to Rosalie znów weszła do wody, chcąc znaleźć się w pierwszym rzędzie foteli dla widzów i wysłuchać finału wielkiej arii Cheruba.

Paul-Louis przepłynął kilka sążni i oddalił się od nas.

— Co za idiota! — mruknęła Rosalie. — No i jak było?

— Nie tak dobrze jak z panią — odrzekłem czym prędzej.

Wzruszyła ramionami (zabieg trudny do wykonania, kiedy musi się płynąć i utrzymywać głowę ponad wodą).

— Mówi pan tak dlatego, żeby mi sprawić przyjemność.

— A czy to pani sprawia w ogóle przyjemność?

— O tak — przyznała.

— A więc miałem rację — zakończyłem.

Lecz tak naprawdę tylko mi się zdawało, że na tym już koniec. Albowiem nie brałem pod uwagę swoich bliźnich i jakże różnorodnych stanów ich dusz.

Gdyż niebawem kapitan podpłynął do nas blisko.

— A teraz ty — oświadczył porywczo.

— Co ja? — zapytałem, siląc się na łagodność.

— Nie zgrywaj głupka — odrzekł. — Każdy po kolei, no nie? Ja e j już pociągnąłem, a teraz ty ssiesz mojego. Ot co.

No więc jak?

Zaczynał mnie już nielicho denerwować tymi swoimi świńskimi ciągotami.

— Nie, nic z tych rzeczy — powiedziałem. — Ja

przecież pana o nic nie prosiłem. Jeżeli panu sprawiło przyjemność podmuchać w mój flecik, to fajnie. Widział pan, że nic miałem nic przeciwko temu. Ale teraz kurtyna, marionetki idą spać, a ja powracam do swej ukochanej.

Zrozumiano?

Wpadł we wściekłość.

— O, to nie! — zgrzytnął zębami. — Nie ma głupich. Żeby mi tu wykręcać takie numery! Mam prawo do rewanżu i nie popuszczę.

Speszyły mnie te słowa żołnierza-wiarusa z 1890 roku. Spojrzałem bacznie na Rosalie. Poruszała z lekka rękoma, aby utrzymać głowę nad poziomem wody. Jej twarz zdawała mi się dziwnie nieprzenikniona. Pewnie musiała czuć się zakłopotana.

Mimo wszystko podstawowy problem dotyczył moich własnych ust. Uważałem zatem, że mam prawo do dalszej dyskusji. Lecz nie starczyło mi czasu. Płynąc czałem, tak żwawo, że nikt by się tego nie spodziewał po jego sześćdziesięciu latach, Paul-Louis dotarł do stateczku, jednym susem pokonał burzę, włączył motor i, nie podnosząc kotwicy, zaczął się od nas oddalać.

— To chyba proste jak drut — wrzasnął do mnie. — Albo mi posiesz palanta, albo też wracasz wpław, a twoja wąłuszy ca z tobą. Jasne?

Spojrzałem na Rosalie.

— Ten typas zaczyna mnie nudzić — powiedziałem spokojnie. — Jestem skłonny zawieźć panią na plecach aż na ląd. Wie pani...

— Sądę, że zdołam przepłynąć blisko dwie trzecie drogi— odpowiedziała na to — lecz nie w tym rzecz. Bo kiedy już pan dotrze do La Croisette, dumny z siebie, chociaż padając niemal ze zmęczenia, to chyba nie wróci pan nago do domu...

— Może ten grzdyl zachowa choć tyle przyzwoitości, aby zostawić nam gdzieś na brzegu nasze ubrania?

— Powiedział pan „przyzwoitość”?

68

Westchnąłem. Zaczynało jej być zimno. Świadczyły o tym kąciki warg, które z wolna nabierały odcieniu fioletu.

— Wielu ma pani takich przyjaciół jak ten? — zapytałem cierpko.

— Mam nadzieję, że nie — odrzekła.

— Ja też mam podobną nadzieję.

A kapitan, starając się zyskać na czasie, podniósł powoli kotwicę. Miałem wrażenie, że przyozdobił oblicze wielce sarkastyczną miną.

— Zgoda — zawołałem do niego.

— Byłem pewny, że okażesz się rozsądnym facetem.

— Czy sprawiłoby to panu wielki kłopot, gdyby pan przestał mówić do mnie per ty, ty stary świntuchu? — zapytałem uprzejmie. — Bo wcale mi nie zależy na brataniu się z panem.

W odpowiedzi burknął jakieś przekleństwo.

Dotarłem wraz z Rosalie na jego cholerną łajbę. Typek był w dalszym ciągu nagi, gotów do operacji, która stała się przedmiotem naszych zajadłych rokowań.

Parsknąłem gniewnie.

— Jeden warunek — powiedziałem do Rosalie. — On się rozciągnie na dechach swojej łajby, a pani zdejmie swój kostium kąpielowy i siądzie mu na brzuchu, zwrócona w moją stronę. Wypłyną stąd dwie korzyści. Po pierwsze: usadowi się pani między tym obrzydliwcem i mną, bo nie chcę, żeby on widział, jak mu będę to robić. Po drugie: niech pani będzie tak uprzejma i rozewrze cokolwiek nogi oraz położy się na plecach. W ten sposób będę mieć przed oczyma pani rozkwitłą kamelię, a to mi doda odwagi. Okay?

Skinęła bez słowa.

Tamten debil wciąż jeszcze gderał coś w swoim kącie.

— Czy byłby pan tak uprzejmy i wyłączył ten swój zasrany motor? — zagadnąłem uprzejmie.

Przekręcił klucz.

— Skończył już pan swój cyrk? — zapytał niezbyt życzliwie — No to jak? Zaczynamy?

— Kładź się pan — rozkazałem. — Jeżeli masz pan w kabinie materac dmuchany, to skocz pan czym prędzej po niego. Nie będzie mi to przeszkadzać.

Bez słowa wyciągnął się na pokładzie. Jego palant chwiało się bezwładnie to w prawo, to w lewo.

Rosalie zdjęła kostium kąpielowy. Ta kobieta, za każdym razem, gdy tylko widziałem ją nagą, wprawiała mnie w zdumienie: mając za sobą sześćdziesiąt dwa kalendarze, o czym nikomu nie mówiła (lecz ja widziałem jej dokumenty), miała anatomię, jaką chętnie by sobie zafundowała niejedna czterdziestolatka. Lecz wszystko zdawało się wskazywać, iż nie robi to żadnego wrażenia na' naszym rajfurze-matrosie.

Moja ukochana przysiadła na jego brzuchu, na tyle nisko, by wydał z siebie rozgłosne „uff”. Jego kurant wyraźnie nie podzielał upodobań swego pana, gdyż bliskość ślicznej kosmatki nakazała mu dość dziarsko unieść głowę do góry.

Rosalie wyciągnęła się częściowo na brzuchu Paula-Louisa, wspierając się, z lekka na łokciach. Spojrzała na mnie.

— Czy tak będzie dobrze? — szepnęła. Przytaknąłem ruchem rzęs.

Usadowiłem się pomiędzy nogami kapitana, biorąc do ust jego spaśnego donalda. Muszę przyznać, że rzadko kiedy zdarzyło mi się oglądać coś. równej wielkości. Musiał mieć jakieś półtora cala średnicy i dziewięć cali długości.

Pobyt w wodzie dodał mu raczej przyjemnego smaku: sól morską wzmogła zapach ryb, który w naturalny sposób posiadają wszystkie organy płciowe. Toteż miałem wrażenie, że wsuwam kanapkę z miętusem.

Rosalie cudownie grała swoją rolę. Odkąd ja jałem pochłaniać nasz bilet powrotny, ona poczęła pieścić swoją szparkę, czyniąc to niby przez roztargnienie, jak gdyby rozmyślała w ogóle o czymś innym.

Ja natomiast myślałem tylko o niej. Wyobrażałem sobie, że to ją właśnie obrabiam językiem, a nie tego rekina od siedmiu boleści. Gdyby tam nie było Rosalie, wykopałbym tego cholernego świntucha do wody i albo sam by dopłynął do brzegu, albo też straż przybrzeżna wyłowiłaby go następnego dnia. Ale nie są to rzeczy, które można by zrobić, kiedy ma się u boku miłą sercu osobę, przy tym tak delikatną i wrażliwą.

Ssałem więc chwost tego gnoja, ale myślałem wyłącznie o Rosalie.

Rozmyślałem tak intensywnie, że zaskoczył mnie nagle pierwszy rozbryzg serwatki. Nie sądziłem, że pójdzie to tak szybko. Porzuciłem tę jego maczugę, gdy tylko pojawiła się pierwsza kropla.

Zaprotestował gwałtownie:

— Dalej, brudasio! Do końca! Splunąłem w głąb luku.

Siedząc ciągle na jego brzuchu, Rosalie wydoiła go swą delikatną dłonią do końca.

— Ja przecież wszystko połknąłem — gderał. — Gdybym wiedział, zrobiłbym tak jak on.

Podźwignąłem się z miejsca.

— Coś ci powiem, stary. Coś bardzo ważnego. Otóż wciągniesz czym prędzej portki. I uruchomisz motor.

Dowieziesz nas do punktu wyjścia. I bez żadnych numerów, bo masz piekielne szczęście, że jest tu Rosalie, kobieta, dla której żywię szacunek. Bo w przeciwnym wypadku wróciłbyś do zatoki z gębą tak rozkwaszoną, że nawet twoi kolesie nie potrafiliby cię rozpoznać. Zrozumiano? A teraz w drogę, kapitanie, i bez komentarzy.

Spojrzał na mnie, obliczając, czy miałby jakieś szanse, gdyby spróbował zepchnąć mnie z pokładu. Ale nie miał.

Zaprzestał więc wszelkich nalegań. Natomiast ja doszedłem do wniosku, że tego dnia nie zyskałem sobie przyjaciela.

Zważcie, iż jestem raczej samotnikiem: w moim fachu

przyjaciele łatwo dopuszczają się zrad. Czym mniej ich się posiada, tym lepiej się człowiek czuje. Niechęć kapitana nie zakłóciła mi więc snu. Lecz żałowałem, że tak dobrze rozpoczęty dzień zakończył się posmakiem goryczy i osamotnienia.

No cóż, będą jeszcze inne.

8

W sobotę 30 czerwca, dokładnie przed kolacją, Rosalie powiedziała:

— Czy ma pan ciemny garnitur?

— Tak, mój skarbie.

— I odpowiedni krawat?

— Nawet wiele krawatów, jeśli o to chodzi. A po co?

— Czy nie sprawiłoby panu kłopotu, gdyby pan się tak właśnie ubrał? Chciałabym, aby mi pan towarzyszył do_kasyna.

— Do usług, droga przyjaciółko. Ale gdzie? Do Cannes? Juan-les-Pins? Ruhl? Monte Carlo?

— Monte Carlo, jeśli nie będzie panu przeszkadzać odbycie tak długiej drogi.

— Wprost przeciwnie. Kiedyś zdążyłem nawet nabrać pewnego przyzwyczajenia do tego właśnie miejsca. To mnie trochę odmłodzi.

To ja osobiście przygotowałem kolację. Och, coś bardzo prostego: pasztet w cieście, mesclun, przeróżne sery, sorbet owocowy, czerwony bandol.

Zostawiłem Rosalie popijającą kawę i wyszedłem, aby się przebrać w strój młodego mężczyzny do towarzystwa.

Byłem już w drzwiach, gdy zawołała do mnie:

— Czy weźmie pan samochód wracając?

— Dobrze. Da mi pani kluczyki?

— Są w mojej torebce na łóżku.

— Zapewne nie będę mógł zatrzymać się na wprost domu, RÓsalie. Stanę nieco z boku i zadzwonię trzy razy. Czy będzie pani gotowa?

— Już jestem gotowa.

— Jest pani wprost cudowna. Uśmiechnąłem się do niej i wyszedłem.

W istocie mam nie jeden, a trzy ciemne garnitury. Jeden, czarny, służy mi wyłącznie na pogrzeby, drugi, barwy antracytu, na śluby, a trzeci — w kolorze nieba pogodną nocą — na eleganckie przyjęcia* Wybrałem ten ostatni, do tego założyłem białą koszulę i bordowy stonowany krawat w delikatne podłużne białe prążki.

Wróciłem pieszo i skręciłem przez parking Espace Grimaldi, gdzie przez cały rok Rosalie trzyma swój samochód.

Wystarczyło trzy razy nacisnąć guzik domofonu, ażeby moja dama zeszła na dół.

Miała na sobie sukienkę z ciemnoszarej lajny, pojedynczy sznur pereł oraz etolę z niebieskiego lisa. Była wprost wpaniała. Pocałowałem ją.

— Jest pani znakomita, moja droga. Jestem dumny, że mogę pani towarzyszyć.

— Dziękuję. Niech mi pan więc przytrzyma drzwiczki, bo moja suknia jest zbyt wąska, bym mogła unieść nogę.

— Egoistka! A czemuż to chce pani pozbawić przechodniów tak ślicznego widoku?

Pomagając jej wsiąść do wozu, klepnałem ją kilka razy w pośladek.

— Idiota! Niechże pan przestanie!

— Przecież nikt nas nie widzi! Nie chce pani prowadzić?

— Nie. Uwielbiam sposób, w jaki zaciska pan wargi, kiedy dodaje pan gazu, aby kogoś wyprzedzić.

— Od tej pory będę wysuwał język. — Skręciłem w lewo, w ulicę Gongres, potem znów w lewo, na Promenadę, i pomknąłem nią na wschód. Później pokona-

łem bulwar Etats-Uniś, Rauba Capeu i uliczki koło portu, minąłem bulwar Stalingrad i plac Max-Barrel. Aż. do tej pory zachowywałem się wyjątkowo rozsądnie, ale od pierwszych serpentyn koło Moyenne Corniche jałem przyciskać nieco pedał gazu. W końcu do tego właśnie zostało stworzone turbo. Czyż nie tak?

Mam słabość do Moyenne Corniche. To coś wręcz wspaniałego. Wyjazd pod górę włącza niemal samochód w nawierzchnię szosy, zwłaszcza na zakrętach w lewo. Muszę oddać sprawiedliwość Rosalie, że przez pierwsze jedenaście kilometrów nawet nie drgnęła. Gdy już wyszedłem na tę krótką prostą, która poprzedza wjazd do Eze, przemówiła głosem wyraźnie pozbawionym emocji:

— Drogi Gwennie, jeśli pan cokolwiek nie zwolni, będę zmuszona jeszcze raz się cześć. Niechże pan ma jakiś wzgląd na moje siwe włosy.

Ta kobieta miała jedną nieprawdopodobną przewagę: potrafiła mnie zawsze rozśmieszyć, i to zwykle wtedy, gdy wydawało mi się, iż wprawiam ją w bezbrzeżne zdumienie. Wygrywała za każdym razem.

Teraz też wszystko skończyło się tak, jak przewidziała. Roześmiałem się i zwolniłem tempo. Trzeba przyznać, że zjazd do Monaco jest o wiele bardziej niebezpieczny niż wjazd pod górę (każdy automobilista wam to powie). Toteż ostatnie kilometry pokonałem z bardzo rozsądną prędkością.

Wjechaliśmy do grodu Rainera III mniej więcej za dziesięć jedenasta. Roilo się tu od pojazdów i od pieszych. Nie straciłem jednak pewności siebie. Zatrzymałem się tuż przed wejściem do kasyna, kluczyki od renaulta 5, owinięte w pięćdziesięciofrankowy banknot, powierzyłem szamerowanemu od stóp do głów portierowi, a następnie podałem ramię mej ukochanej. Niczym para udziałnych władców wkroczyliśmy na pałacowe schody.

Bywałem tutaj dość często. Tego wieczoru „fizjonomista”, mały brunet, zapewne korsykańskiego pocho-

dzenia, z którym niejednokrotnie się tu spotykałem, powitał mnie z uśmiechem:

— Czy zechce mi pan przypomnieć imię pani? — zapytał wypełniając kartkę na moje nazwisko.

— Rosalie.

— Dziękuję panu.

Podał mi kartkę. Rosalie nie mogła się nadziwić.

Zaprowadziłem ją do drugiej sali ruletki, udałem się do kasy po żetony za dwa tysiące franków, zająłem dla niej pierwsze krzesło, jakie się tylko zwolniło, i przez chwilę przyglądałem się jej, jak kładzie swoją stawkę na suknię.

— Pan nie gra? — zapytała.

— Za moment. Wolę wpiery sprawdzić ogólną temperaturę sali. Zresztą widok graczy bawi mnie prawie tak, jak i sama gra.

Mimo wszystko w dziesięć minut później i ja poczułem chęć rzucenia kilku żetonów na zielony stół.

— Idę do kasy — powiedziałem Rosalie.

Skinęła lekko głową. Kulka zaczęła podskakiwać w głębi tarczy. Oddaliłem się.

Gdy zbliżałem się już do kasy, podeszła do mnie jakaś młoda kobieta, duża blondyna o twarzy dość kanciastej, ale nie pozbawionej wdzięku.

— Czy nie zechciałby pan — powiedziała do mnie z uśmiechem — pożyczyć mi dwudziestu ludiorów, abym mogła poprawić swój stan posiadania?

— Na Boga, panienko — odrzekłem. ^—Doprawdy, nie musi pani wcale go poprawiać. Natura wyposażyła wszak panią dość hojnie, toteż posiada pani wszystko, oo należy.

Wykrzywiła twarz w grymasie niechęci.

— To brzydko z pana strony, że pan kpi sobie ze mnie. .

— Daleki jestem od tego...

— Zapewniam pana, że tak właśnie jest. Straciłam trzy tysiące franków. Wszystko, co miałam. Ale gdybym

mogła kontynuować grę, to czuję, że w ciągu półgodziny szczęście zaczęłoby mi sprzyjać. Nie zechce mi pan dopomóc w szybkiej odmianie losu? Nachyliłem się ku niej.

— Zechce pani posłuchać — mruknąłem. — Mam pani do powiedzenia dwie rzeczy. Pierwsza: jeżeli pani nadal będzie grać, to chyba zdaje sobie pani sprawę, że znów się spłuka.

— Dlaczego usiłuje pan przynieść mi pecha?

— I druga: mam ukochaną, która pilnuje mnie siedząc przy sąsiednim stoliku. I wie pani, ona jest dosyć zazdrosna. Gdybym pani odpalił chociaż jeden żeton, wywaliłaby mnie za drzwi.

— Żigolak?— zapytała..

— *Yes, dar ling.*

— Przepraszam. Mój stary trzyma mnie teraz krótko. Zawsze tak bywa, kiedy tylko łapie go atak rwy kulszowej.

— To chyba bolesne, co? Nie chodzi mi tu o rwę, ale o to, że tak krótko panią trzyma.

— Cóż począć. Wie pan? Jest pan całkiem milutki.

— Mówiono mi to już nieraz.

— Przypuszczam, że były to same znawczynie. —I znawcy również.

— Biseks?

— Raczej nie, ale jak co do czego... — Czy można do pana zadzwonić?

— Spróbować zawsze można. Jeżeli nie jestem sam, mówię, że to pomyłka.

— Gdzie?

Podąłem jej sześć ostatnich cyfr numeru przy ulicy Berlioza. Mieszkańcy Alp Nadmorskich wiedzą doskonale, że dwie pierwsze cyfry to 9 i 3.

Odwróciła się i odeszła nie patrząc już na mnie. Wziąłem nowy stos żetonów i przyniosłem go Rosalie.

— To jakaś przyjaciółka?— zapytała.

— Niech pani sobie wyobrazi, że dogorywająca łania.

Chciała, abym jej pożyczył czterysta lub pięćset franków. Przy słowie „pożyczył” winienem użyć cudzysłowu. Przypuszczam, że snuje się tutaj i obskakuje wszystkich co lepiej prezentujących się mężczyzn.

— Czy właśnie tak jak w pańskim przypadku?

— A pani nie jest co do tego przekonana?

— Owszem, jestem.

— I jak sobie tu pani poczyna?

— Już od pewnego czasu obstawiam trzynastkę.

— Z matematycznego punktu widzenia to bardzo interesujące. Trzynaście, czternaście, piętnaście. To daje raz trzynaście, dwa razy siedem i trzy razy pięć, a więc pięć pierwszych cyfr — z wyjątkiem jedynki, która tak naprawdę nie liczy się jako pierwsza.

Rosalie zmierzyła mnie badawczym spojrzeniem.

— Cóż pan mi tutaj plecie, przyjacielu?

— Nic. Ja po prostu marzę. Zresztą nic nie przemawia za tym, aby ruletka sprzyjała pierwszym liczbom nieparzystym. Czy mogę na chwilę zostawić panią samą? Chciałbym zagrać jedną partyjkę w „trzydzieści i czterdzieści”.

— To idiotyczna gra.

— Podzielam pani opinię. Ale lubię oglądać gęby idiotów, którzy w to grają.

— Do rychłego zobaczenia.

— Jeżeli będzie mnie pani potrzebować, wystarczy gwizdnąć jia palcach. Od razu się przyczołgam.

— Postaram się nie potrzebować pana.

— Chciałbym, móc powiedzieć to samo.

Po tej wymianie dwuznacznych uprzejmości udałem się do jednej z sąsiednich sal.

To prawda, że „trzydzieści i czterdzieści” zawsze wydawało mi się dziwną grą. Stosuje się w niej dość skomplikowane zasady, po to, ażeby w końcu i tak zaproponować graczom, by obstawiali na los szczęścia. Lepiej już byłoby im kazać, by od początku grali na

chybił trafił, bo dzięki temu reguły byłyby o wiele bardziej klarowne, a i sama gra toczyłaby się szybciej. Zostałem tam dziesięć osób, samych mężczyzn układających żetony na czterech kwadratach stolika. Czerwony i czarny wygrywały tu wyżej niż kolor i „odwrotność”: te dwa ostatnie warianty musiały się chyba wydawać niezwykle zawiłe dla nieszczęśników, którzy ryzykowali przy stole swoje cotygodniowe cztery sous. Obserwowałem ich przez dziesięć minut, podziwiając zarazem niebywałą zręczność krupierów, poczynających tu sobie z jubilerską wręcz precyzją. Potem wolnym krokiem zawróciłem w stronę sali ruletki. Ale nie przekroczyłem jej progu: od drzwi zauważyłem Rosalie pochłoniętą żywą konwersacją z jakimś facetem, ani chybił niebieskim ptakiem, o śniadej skórze i kruczoczarnych włosach, posiadaczem niewielkich wąsików, które tak bardzo lubią — sami zgadnijcie dlaczego — panowie z CRS. Dureń ów pochylał się na nią skwapliwie, zapewne opowiadając jakieś wesołe historie. Zawróciłem na pięcie i udałem się znowu do sali „trzydzieści i czterdzieści”.

Krupier zabierał się właśnie do rozłożenia kart.

— Panowie, *faites vos jeux* — rzucił po raz ostatni. Pochyliłem się nad stolikiem i tłumiąc wściekłość postawiłem pięćset franków na "odwrotność".

— *Rien ne va plus* — oświadczył krupier.

— *Plus rien* — usłyszałem niczym echo. Krupier błyskawicznie rozłożył talię. . Pierwszy rząd (czarny): as trefl, 2 karo, 9 kier, 6 trefl, 8 kier, 10 pik. A więc trzydzieści sześć.

Drugi rząd (czerwony): 7 pik, 5 karo, król kier, walet pik. A więc trzydzieści dwa.

Czerwony kolor wygrał. I wygrała „odwrotność”. A ja wraz z nią.

Zawróciłem, aby móc rzucić okiem na sąsiednią salę. Ten typas był tam w dalszym ciągu. A nawet gorzej: widziałem, jak zgarnął wygraną Rosalie i ułożył ją przed nią.

Przy „trzydzieści i czterdzieści” znów zaczęły wychodzić czerwony i „odwrotność”. Znów postawiłem pięćset franków, ale tym razem na kolor.

Rząd czarny: 2 trefl, 8 karo, król pik, 5 kier, 3 karo, 6 pik, czyli trzydzieści cztery.

Rząd czerwony: dama kier, 5 karo, 9 pik, 4 kier, 8 trefl. Czyli trzydzieści sześć.

Czarne i „kolor” wzięły górę. Za dwoma podejściami wygrałem tysiąc franków. Szczęście rogakza, nieprawdaż? Czym prędzej odszedłem od stołu.

Poprzez drzwi jednej z sąsiednich sal spostrzegłem dopiero co poznaną blondynkę. Stała przy jednym ze stołów ściskając w rękach torebkę. Podeszedłem do niej i dałem znak, aby udała się w ślad za mną do kąta.

— Interesują panią kości? Niech więc się pani strzeże, bo tam oskubią panią szybciej niż przy kartach.

Wzruszyła ramionami.

— Dziś wieczorem już mnie nie oskubią.

— Niechże pani to weźmie — powiedziałem do niej. — Wygrałem to dla pani. No i co? Nie przynoszę pani pecha. Wygrałem!

Podąłem jej dwa żetony pięciusetfrankowe. Rozwarła szeroko oczy.

— Ale dlaczego? — zapytała. — Nie trzeba.

— Wygląda na to, że pani ich bardziej potrzebuje niż ja.

— Dziś wieczorem, tak. Ale już jutro — nie. Czy mogę przyjść do pana, żeby je oddać?

— Tak, może pani, ale nie po to, żeby je oddawać.

— Nie mogę ich przecież od pana przyjąć.

— Powiedzmy, że muszę odczynić zły urok.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Zgoda. A więc w jaki sposób mogę panu podziękować?

— Na pewno przyjdzie pani coś do głowy, nieprawdaż? Spojrzała na mnie z rozmarzeniem.

— Tak — powiedziała. — Tak sędzę.

Otworzyła torebkę i nim wsunęła do niej obie blaszki — wyjęła skrawek koperty. W jednym jego rogu widniały napisane długopisem trzy dwucyfrowe liczby. Był to mój numer telefonu.

— Czy aby się nie pomyliłam?

— Nie.

— Spróbuję teraz zagrać i każdy z tych żetonów postawić z osobna. Może mi pan jeszcze raz przyniesie szczęście?

— Mimo wszystko niech pani uważa. Westchnęła.

— Tak bardzo bym chciała panu podziękować jeszcze dziś w nocy.

— Mam pomysł: niech pani wyjawi kolor swoich majteczek. To mi pozwoli marzyć o pani.

Uśmiechnęła się, lekko zaskoczona, i oblała rumieńcem.

— Ależ pan jest!

— Proszę mi wybaczyć. To był po prostu żart. Przyjmijmy, że w ogóle nic nie mówiłem.

— Są białe — odpowiedziała. — W kwiatki.

— W fiołki?

— Nie. W niezapominajki.

— Świetnie. Nie zapomnę o pani. Odwróciłem się do niej plecami i znów udałem się do sali ruletki. Rosalie była teraz sama. Zbliżyłem się do niej. Miała przed sobą nielichy stosik żetonów: sześć lub siedem "tysięcy franków, oceniając na pierwszy rzut oka.

— Za kwadrans dwunasta — szepnąłem jej do ucha. — Kiedy zamierza pani wracać?

— Za trzy minuty. Skończę te dwie rundki i pójdziemy. Wygrał pan coś?

— Raz tak, raz nie: wróciłem do punktu wyjścia.

— Tak właśnie się dzieje z wybrańcami bogów. Postawiła dwieście franków i wygrała. A później zaraz powstała z miejsca.

Podczas gdy udawała się do najbliższej kasy, aby wymienić żetony, ja przemknąłem do szatni i odebrałem jej etolę z lisa.

Na zewnątrz portier sprowadził nasz samochód. Otworzył nam drzwiczki trzymając czapkę w ręku. Tym razem pojechałem przez Basse Corniche: około pierwszej w nocy ruch kołowy jest bardziej umiarkowany, a morze wprost zachwyca swą urodą.

Byłem w dość podłym humorze. No cóż, zwyczajna zazdrość. To odkrycie" zaskoczyło mnie. Gdyż mimo Wszystko było to ciekawe. Wszak przecież byłem dobrze opłacany, a ciągła gotowość do spełniania zachcianek mej damy stanowiła jak gdyby podstawę moich obowiązków. Więc o cóż mogło mi chodzić?

Robiłem, co mogłem, by nasza droga do Nicei trwała możliwie jak najdłużej. Znam dobrze swą naturę i wiem, do czego jestem zdolny w pierwszym odruchu wrzenia.

Mimo wszystko, przejeżdżając koło ogrodów Alberta I, nie mogłem się powstrzymać i zapytałem:

— Kim był ten typek o twarzy włóczęgi, który tak długo bawił panią rozmową?

— Przyjacielem — odparła chłodno.

— To jeden z pani dawniejszych przyjaciół?

— Tak.

— Nosila mu pani pomarańcze do więzienia de Grasse?

— Idiota!

— Pewnie zaliczył tam wiele długich lat.

— Myli się pan. To agent — pośrednik handlu nieruchomościami.

— A więc nie omyliłem się. -

— W każdym razie był dla mnie bardzo miły.

— Czy bardzo była pani do niego przywiązana?

— To już nie pańska sprawa.

— Czyli po prostu tak. Westchnęła.

— Obawiam się, że jednak mniej niż do pana.

— Tego trzeba by jeszcze dowieść.

Aż do parkingu nie przemówiliśmy już do siebie ani słowem. Kiedy wysiedliśmy, na dworze było jeszcze bardzo ciepło. Przed drzwiami domu Rosalie powiedziała:

— Czy nie zechciałby pan wrócić teraz do siebie? Jestem trochę zmęczona.

— Wolałbym przedtem wypić z panią kieliszek. Nie opierała się zbyt i podała mi klucze. W windzie nie patrzyliśmy na siebie. Otworzyłem drzwi jej mieszkania i wsunąłem się przez nie pierwszy. W salonie Rosalie rzuciła swego lisa na fotel, -a tymczasem ja wyjąłem dwa kieliszki.

— Co mam podać? — zapytałem.

— Mały martini-gin. Wyszła.

Nadstawiłem ucha i zorientowałem się, że wchodzi do łazienki. , Odstawiłem butelkę, zdjąłem krawat oraz marynarkę i poszedłem w ślad za nią. Nie zamknęła drzwi na zasuwkę. Wszedłem.

Siedziała na sedesie. Swą wąską sukienkę uniosła powyżej ud. Szara lama połyskiwała w jaskrawym świetle małego pomieszczenia. Patrzyła na mnie nic nie mówiąc. Słysząc było tylko nieśmiałe pluskanie cienkiej strużki cieczy o porcelanową gładź muszli.

Podszedłem do niej, rozsunąłem zamek rozporka, wyjąłem swój oręż i zdecydowanym ruchem przytknąłem jej do ust.

— Ssij, moja kwoczko — szepnąłem. — Nigdzie me znajdziesz lepszych warunków, aby móc docenić te słowicze likwory.

Otworzyła usta bez słowa protestu. Wsunąłem jej moją kopystkę do środka, czyniąc to ani chybi zbyt gwałtownie, bo w jej oczach zaszklily się łzy. Ale przyjęła moje tam-i-z-powrotem bez sprzeciwu, a nawet pod koniec przyspieszyła akcję posiłkując się językiem.

Bryznięłem przemożną fontanną, zacisnąwszy zęby, wstrząsany dreszczem spazmów. Cofnąłem się, odwróciłem w stronę umywalki z białego marmuru i starannie umyłem sobie sponsora.

Wtedy dopiero Rosalie przemówiła:

— Alonzo nigdy by tego nie zrobił. I co? Jest pan zadowolony?

— Niech pani mówi...

— Nigdy się nie pchał do łazienki, kiedy ja w niej byłem.

— I na dobitkę ten typ ma na imię Alonzo?

— Przecież chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie może pan być o niego zazdrosny.

Czułem się nieco zmieszany. Przybrałem więc tę swobodną minę, z którą tak bardzo mi do twarzy.

— Obiecuję, że już więcej nie będę. Lecz ona nawet się nie uśmiechnęła.

— A teraz niech pan wraca do siebie, Gwennie. To miłe z pańskiej strony, że traktuje mnie pan jak dorastającą panienkę, ale ja już naprawdę jestem zbyt zmęczona.

— Dobranoc, Rosalie. I dzięki za tyle pobłażliwości dla moich szaleństw.

Westchnęła.

— To nie z powodu pobłażliwości, mój drogi. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Pochyliłem się w jej stronę i pocałowałem ją w usta, aby powstrzymać wynurzenia, które mogły się okazać niebezpieczne.

— A więc zostawiam panią.

W chwili gdy przekraczałem próg mieszkania, usłyszałem na drugim jego krańcu jakieś dziwne odgłosy. Ostrożnie zamknąłem drzwi.

Pojutrze, w poniedziałek 2 lipca, około jedenastej rano zadzwonił telefon. Wychodziłem właśnie spod natrysku, który brałem dwa razy dziennie. Podniosłem słuchawkę.

— Hallo... — powiedział jakiś kobiecy głos. — Tu Patrycja.

— Jaka Patrycja? — zapytałem podejrzliwie.

— Ach tak, no prawda. Nie wyjawiałam przecież panu Swojego imienia. To właśnie mnie pożyczył pan tysiąc franków w piątek wieczorem w Monte Carlo.

— Teraz poznaję po głosie. Dzień dobry, Patrycjo. Zapewniam jednak, że ich nie pożyczyłem: był to dobrowolny datk na rozwój krajów trzeciego świata.

— Zgoda, nie będę się upierać przy ich oddawaniu. Ale sprawiłoby mi przyjemność, gdybym mogła znów pana ujrzeć i podziękować. Czy będzie to możliwe?

— Oczywiście. Kiedy?

— Dziś po południu. Mój pan ma naradę administracyjną około trzeciej, potem, o szóstej — seans u masa-żystki, a potem., sama nie wiem, co jeszcze. Muszę tylko spotkać się z nim przy kolacji.

Świetnie się składało: wiedziałem, że tego popołudnia Rosalie miała pójść z wizytą do pewnej starej przyjaciółki, która przebywała w anglo-amerykańskiej klinice w Mont-Boron.

— Może pani przyjechać do Nicei?

— Pewnie. Mieszkam w Villefranche.

— Więc zaraz pani wszystko wytłumaczę. Zastanowiłem się przez chwilę.

— Choć nie... Chwileczkę... Wolę wybrać się po panią osobiście.

Umówiłem się z nią około piętnastej przy Kaplicy Rybaków, tej, którą tak pięknie udekorował Jean Cocteau.

Rozłączyliśmy się.

Mój zamiar był prosty: zaprowadzić ją do Falicon, do mojego własnego domu, w którym Rodryg — już od czterech tygodni — mieszkał zupełnie sam i gdzie Rosalie, która tam nigdy jeszcze nie zaglądała, nie mogła w żaden sposób zakłócić naszego sam na sam.

Wszystko odbyło się znakomicie. Patrycja zjawiała się

punktualnie. Była w rozkosznej sukience w stylu Laury Ashley, koloru mandarynkowego. Zgodziła się powierzyć swą prześliczną główkę kaskowi typu „pasażer”, który dla niej zabrałem.

O piętnastej dwadzieścia siedem stanęliśmy przed moim domem.

Ó piętnastej dwadzieścia dziewięć zaparkowałem „kawę” w moim małym ogródku.

O piętnastej trzydzieści trzy Patrycja padła w me ramiona.

Nie, to nie był żaden kant: miała naprawdę białe majteczki w niezapominajki.

A w nich skrywała wspaniałą różową gladiolę.

Przez dwie następne godziny używałem jej na cztery różne sposoby, o których być może opowiem wam kiedyś szczegółowo.

9

Pewnego razu zaproponowałem Rosalie spacer. Od wielu już dni miałem ochotę na wielką motocyklową włóczęgę w głąb kraju.

Było to w środę, chyba czwartego lipca, w dniu, w którym dawniej czczono pamięć świętej Berty, wdowy tudzież ksieni (Nie macie pojęcia, jak wiele wdów zostało świętymi; obok dziewic i męczenników to właśnie wdowy zapewniają największy kontygent dla kalendarza. Ech, mężczyźni muszą być paskudni!).

Po śniadaniu" udałem się po kawasaki i pogałem przed siebie, aby zadzwonić do bramy przy bulwarze Viktora Hugo.

Rosalie przywdziała kombinezon w kolorze nieba wczesnej nocy, ściągnięty w talii paskiem z metalowych obrączek. Na nogach miała buty ze skóry daniela, tej samej barwy co i kombinezon. Na szyi zawiązała szal z bordowego kaszmiru.

Ja założyłem czarne welurowe spodnie, koszulkę rugby shirt koloru bordo, czarną skórzaną kurtkę i lekkie motocyklowe buty.

Wcisnęliśmy nasze czaszki w głąb białych hełmów, które nadawały nam wygląd płetwonurków, i odjechaliśmy.

Była trzecia dziesiąta.

Opuściłem Niceę jadąc przez Promenadę Paillon,

bulwar Joseph-Risso i drogą turyńską, a potem przez bulwar Riba Roussa, który osiąga się przemierzwszy La Trinité-Victor, by w końcu wdrzeć się na szosę numer 2204.

Moja przejażdżka miała na względzie zarówno cel kulturalny, jak i sentymentalny: pragnąłem obejrzeć parę fragmentów krajobrazu, zwiedzić kilka zabytków gór nicejskich, bardzo zasobnych w tej mierze. Był to subtelny sposób przypomnienia Rosalie o moim dyplomie absolwenta filozofii klasycznej. Zresztą zauważyłem, że w ostatnich tygodniach uprzednie doznania estetyczne wzmagają pod wieczór jej wyobraźnię.

Pierwszy etap: L'escarène. Przebywając most nad Paillon zwolniłem nieco. Zatrzymaliśmy się na moment przed kościołem. Zbudowany w XVII wieku, posiada on interesujący wystrój barokowy, zarówno gdy idzie o fronton, jak i o wnętrze. Towarzyszą mu dwie prześliczne kaplice pokutne, lecz nie mogliśmy ich zwiedzić, bo były zamknięte na klucz.

W kwadrans później, to znaczy około godziny czwartej dwadzieścia, przybyliśmy do Lucèram, odległego zaledwie o siedem czy osiem kilometrów. Stara ta osada wznosi się na stromej skale, która dzieli wąwozy dwóch potoków. Ich nazwy uciekły mi już z pamięci. Nowa wioska natomiast znajduje się cokolwiek w głębi, u ich zbiegu.

Kościół świętej Małgorzaty został zbudowany na przełomie XV i XVI wieku, co tłumaczy jego mieszany romańsko-gotycki styl. I te przesłodzone detale, które mu zafundowano w XVIII wieku, nie są w najlepszym guście. Posiada on natomiast imponującą kolekcję retabulów: świętej Małgorzaty, które przypisuje się zwykle Louisowi Beri, a ponadto retabula świętego Maurycego, świętego Klaudiusza i świętego Antoniego z Padwy. A oprócz tego jeszcze jedno, godne najwyższego podziwu, nad którym pół tuzina słynnych patronów zda się odbywać uczoną dysputę teologiczną.

Ale to, co najlepsze, zachowałem na deser: w witrynie skarbcza przy statuetce Małgorzaty (wraz z jej smokiem) i krzyżu procesyjnym można się skupić przed relikwiami świętej Rozalii z Padwy — tak, tak — przechowywanymi w prześlicznym srebrnym relikwiarzu z XVIII wieku.

— Czy wiedziała pani w ogóle o jej istnieniu? — zapytałem moją towarzyszkę.

— O nie — odrzekła. — Znałam tylko Rozalię z Palermo, której święto przypada 4 września i którą zawsze uważałam za moją naturalną opiekunkę.

— Czy to dziewica i męczennica zarazem?

— Dziewica, ale nie męczennica. Niemniej osoba bardzo zacna, która, opuściwszy zasobny ojcowski dom, jako młodzianka dziewczyna ukryła się w grocie, iżby tam poświęcić się całkowicie adoracji Chrystusa.

— I spędziła tam całe swoje życie?

— Na to wygląda, o ile nie przenosiła się z groty do groty. Za to problem jej menu stawia wszystko pod znakiem zapytania. Nie wiadomo, czym się właściwie żywiła. Faktycznie bowiem musiała zapewne korzystać z dobrodziejstwa jałmużny publicznej lub prywatnej, jako że sama nie zajmowała się inną działalnością prócz modlitwy i biczowania (przy pomocy łańcucha), co nikomu nigdy nie zapewniało utrzymania^ a z drugiej strony musiała uważać, iżby się nie dać odnaleźć sługom swego ojca, którzy przywiedliby ją *manu militari* do domu.

— To zapewne tajemnica teologiczna, jak powiada imć Theo Klein.

— Jak pan sobie życzy.

Nie liczy się wyłącznie wiara: istnieje także poczucie sacrum, które potrafi wstrząsnąć najbardziej nawet niewzruszonymi spośród niedowiarków (na przykład mną).

Przed opuszczeniem kościoła Rosalie — bardziej wzruszona, niżby sobie tego być może życzyła — postanowiła zapalić świecę gwoli zjednania przychylności nowej imienniczki.

Właśnie próbowała ją umieścić na wprawionej tam ad hoc kolczastej kracie, gdy jakaś młoda kobieta, również niosąca całkiem nowiutką świecę, podeszła do Rosalie i poprosiła ją, iżby jej użyczyła płomienia. Podwójny blask rozświetlił na chwilę ich twarze. Nowo przybyła zdawała się mieć około dwudziestu lat. Miała ostro zarysowany podbródek, oczy barwy niebieskozielonej, o ile mogłem się dobrze przyjrzeć, i kręcone blond włosy.

Ubrana była w kwiecistą bluzeczkę i dość obcisły kostium w beżowej tonacji.

Podziękowała Rosalie i, wbiwszy swą świecę tuż obok jej świecy, oddaliła się zwawym krokiem, po czym u wejścia podeszła do jakiegoś dość eleganckiego pana, który musiał być chyba jej ojcem, ale którego rysów twarzy nie mogłem dojrzeć. Natychmiast wyszli z kościoła.

Gdy wraz z Rosalie podążyliśmy w ich ślady, zdążyli zniknąć nam z oczu.

Była godzina piąta dwadzieścia pięć, gdy dotarliśmy do Peira-Cava. Tutejsza panorama, czy raczej panoramy (bo jest ich wiele) w pełni zasługują na rzut oka.

Kłopot jednak w tym, że na punkt widokowy trzeba udać się pieszo. Nie jestem wrogiem tego rodzaju spacerów (moje mięśnie zawdzięczają im znaczną część swej zwinności i wytrzymałości), ale wiem z doświadczenia, że dużą nieostrożnością jest pozostawianie motocykla na skraju drogi przez dłużej niż kilka minut, nawet gdy jest on spętany łańcuchem zabezpieczającym przed kradzieżą.

Zadowoliliśmy się więc wspinaczką po zboczu, by stamtąd podziwiać krajobraz, co w zupełności wystarczyło nam do szczęścia.

Pomiędzy Peira-Cava a przełęczą turyńską, dokładnie tuż przed pierwszymi serpentynami, poczułem przemożną chęć dodania gazu. Jeśli jeszcze nigdy nie dosiadaliście „kawy 750, gorąco wam radzę to zrobić. Uskrzydli to wasze pośladki. Poczujecie wówczas, jakby wasze tyłki ciągnęły was do przodu.

Cała. Bieda w tym, że na tej drodze trudno raczej

o chwile samotności. Nawet jeśli zniesiecie już jakoś całe karawany Niemców i autokary Japończyków, wasz horyzont będzie ciągle zacipopowany przez nie kończący się sznur pojazdów rodzinnych, urlopowiczów, którzy wlokąc za sobą tabuny dzieci, mkną przed siebie z prędkością aż czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Oczywiście mając maszynę, która w mniej niż trzy sekundy przechodzi od sześćdziesięciu do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, można ich łatwo wyprzedzić.

Lecz jest to coś, co robię bardzo niechętnie, zwłaszcza wioząc pasażera, ponieważ .boję się durniów, którzy na nic nie patrząc usiłują wyrwać się gdzieś przed siebie.

Jeśli chodzi o pasażera lub raczej o pasażerki, Jacques Bens w swej małej, dowcipnej książeczce *Pochwała dam i motocykli* napisał wyraźnie: „Przejażdżka motocyklowa stwarza jedyną w swym rodzaju okazję po temu, by kobieta, której prawie wcale nie znasz, kleiła się do ciebie z nadzwyczajnym wprost oddaniem. Jej piersi opierają się wówczas o szczyty twych łopatek, jej brzuch wprawia w drżenie twe lędźwie, jej oddech łaskocze ci szyję, a ramiona obejmują twą klatkę piersiową...” To prawda. Ale Bens powinien był jeszcze dodać, że[^] te rozkoszne doznania mają miejsce zaledwie w ciągu owych paru tygodni roku, gdy motocyklem jeździ się w lekkim stroju. Bo przez całą resztę sezonu przeróżne watowane ciuchy, w które jesteśmy ubrani, bynajmniej nie sprzyjają dotykowej intymności. Gdy twoja pasażerka i ty macie na sobie *tee-shirty*, po dwa swetry i skórzane kurtki, wrażenie, jakiego doznają twoje plecy, bliskie jest temu, które wywołałby worek pełen mąki wsparty o ciebie z tyłu.

Ale tamtego popołudnia rzecz przedstawiała się zgoła inaczej, gdyż ja miałem pod kurtką zaledwie koszulę, Rosalie zaś nie wdziała pod kombinezon nic oprócz bielizny.

Zdawała się nie odczuwać strachu. Chcę powiedzieć, że jeśli się bała, to starała się tego nie okazywać. Byłem jej

za to wdzięczny, jako że wołałem unikać wszelkich złościwości. Uważałem, że zasługuje ona na coś więcej.

Okokrpół do siódmej dotarliśmy na Przełęcz Turyńską.

W torbie miałem mapę *Michelin 84*. Próbowałem zidentyfikować niektóre z otaczających nas szczytów. Mój dziadek walczył tutaj w latach 39-40, broniąc rozmaitych pozycji pomiędzy Cime du Diable, Cabanes-Vieilles i Fon-tan przeciw oddziałom Mussoliniego. Wojna zakończyła się bez wielkich strat: wszyscy Francuzi i Włosi mieli krewnych po obu stronach granicy, toteż — niezdolni do traktowania siebie jako śmiertelnych wrogów —. bynajmniej nie zamierzali staczać zaciekłych walk. I dzięki Bogu,

Na jednym ze wzgórz, pośrodku wspaniałego lasu kasztanowego, wznosi się La Bollèn-Vésubie, zbudowany na planie koła. W centrum jego kuliście biegnących uliczek wznosi się kościół, godny uwagi z dwóch istotnych powodów: z powodu ładującego wzrok malunku na sklepieniu oraz z racji posiadania obrazu przedstawiającego słynne ślubowanie Ludwika XIII.

Złożyliśmy tam tylko krótką, kurtuazyjną wizytę.

Dochodziła już siódma, gdy po raz czwarty czy piąty tego dnia włożyliśmy na głowy kaski.

— A gdybyśmy tak zjedli tutaj kolację? — zaproponowałem Rosalie.

— A czy jesteśmy daleko pd Nicei?

— Nie. Ledwie pięćdziesiąt kilometrów. Jeśli nas szybko obsłużą, dowiozę panią do domu na dziesiątą.

— Czemu nie? — odrzekła mi na to. — Wieczór jest taki piękny, że nie ma się ochoty wracać zaraz do miasta.

Powziąłem pewien zamysł: jeden z moich przygodnych kolegów niedawno temu poinformował mnie o istnieniu świętej oberży, ulokowanej na starej warownej farmie pomiędzy La Seuil i Les Glapières.

W Lantosque przedostałem się na szosę D 573 i pojechałem wzdłuż łożyska małego potoku, suchego o tej porze.

Później należało zjechać na prywatną drogę prowadzącą do Oberży de la Brasque, bardzo dyskretnie reklamowanej za sprawą eleganckiego szyldziku.

Koniec drogi — ostatnie pięćdziesiąt metrów —? ob-ramowywał podwójny szpaler jesionów.

Na trasie stało dwanaście ogrodowych stolików, na razie jeszcze wolnych.

Przeżyłem chwilę niepokoju: niektórzy szefowie hoteli niechętnie przyjmują motocyklistów, gdyż uważają ich za ludzi żyjących na bakier z higieną i kiepsko wychowanych. Jak więc nas tutaj przyjmą?

Zapomniałem o tym, że bez względu na strój Rosalie nosi się zawsze jak królowa. Szef sali restauracyjnej, który wyszedł nam na spotkanie, skłonił się przed nią z szacunkiem. Zgodzono się powiesić nasze kaski w szatni i zaprowadzono nas do małej łazienki w kolorze cukierkoworó-żowym, abyśmy mogli doprowadzić się do porządku.

Gdy powróciliśmy na taras, dwóch kelnerów układało właśnie nakrycia. Wybraliśmy dość odległy stolik, aby być z dala od rozgwaru rozmów. Była to wszelako zbędna ostrożność, gdyż ostatecznie dołączyło do nas niewielu współbiesiadników.

Rosalie siedziała w ten sposób, iż częściowo zwrócona była twarzą do reszty obecnych. Kiedy zajadaliśmy seleri w anchoidzie, skierowała ku komuś lekki skłon głowy poparty uśmiechem.

Spojrzałem w tamtą stronę i rozpoznałem ową panienkę od świecy spotkaną w Łuceram. Zmieniła strój: teraz miała na sobie obcisłą sukienkę z fioletowego aksamitu, co podkreślało jeszcze jasny odcień jej włosów. Doszedłem więc do wniosku, nie przywiązując do tego zresztą większej wagi, że wynajmuje zapewne pokój w tutejszym pensjonacie. Coś tam zawzięcie kroić na talerzu. Facet, który jej towarzyszył, obserwował "mnie bacznie, ale nie dawał tego po sobie poznać.

Po selerach podano nam smażone barweny i puree

z kopru włoskiego. Następnie ser z Delfinatu, bardziej męski — gdyż ostry i pomarszczony — niżli sabaudzki. Potem jeszcze drobniutkie czereśnie z ubiegłego sezonu, nieco kwaśne, ale rozkosznie pachnące. I wówczas Rosalie wstała.

— Przepraszam pana na jedną minutkę — powiedziała do mnie. — Zupełnie zapomniałam, że mam zadzwonić do Ginette. Zaprosiła mnie do siebie na herbatę na jutro po południu.. Ale ponieważ nie wiedziałam, czy ma pan jakieś inne plany, obiecałam wcześniej do niej zadzwonić, aby potwierdzić swe przybycie. Czy panu to nie przeszkadza?

— A cóż takiego miałyby mi w tym przeszkadzać, moja droga? Czy to, że pójdzie pani na herbatę do tej czarującej osóбки, czy też może to, że pani do niej zatelefonuje?

Pochyliła się w moją stronę i pocałowała mnie w nos.

— Ależ ten człowiek ma poczucie humoru — stwierdziła. Miała rację. Ja jednakowoż odrzekłem:

— Nie, mój skarbie. Wszak wie pani dobrze, że nie mam innych planów prócz naszych wspólnych. Ostatecznie jednak dobrze się składa: powinienem odprowadzić motocykl do mego mechanika, aby dokonał przeglądu po dwudziestu tysiącach kilometrów.

— A więc zgoda?

— Zgoda.

Spojrzała na zegarek i dodała:

— Mam nadzieję, że nie jest za późno.

— Ósma dwadzieścia — powiedziałem. — Jest jeszcze dosyć wcześnie. Więc jeśli nawet pani przyjaciółka nie jest teraz sama, to i tak z całą pewnością nie poszła jeszcze do łóżka.

— A jeśli się już położyła, przeproszę ją. Od pana również.

— I bardzo panią o to proszę, moja droga. Jestem pewien, że nie będzie jej to obojętne.

Rosalie uśmiechnęła się z lekka, acz niezbyt pobłażliwie, wzięła torebkę i odeszła krokiem królowej nocy.

10

Można by dojść do wniosku, że facet czekał dokładnie na ten moment, bo powstał niemal natychmiast i zbliżył się do mnie.

Był mniej więcej mojego wzrostu i wyglądał na dobrze zakonserwowanego pięćdziesięciolatka. Miał opaloną twarz, niebieskie żywe oczy oraz czuprynę barwy pieprzu z solą. Nosił szary garnitur, jasnoniebieską koszulę i klubowy krawat w kolorze ciemnoniebieskim. Na palcu prawej ręki miał sygnet, na lewej — ślubną obrączkę.

— Zechce pan wybaczyć — powiedział z uśmiechem — jeśli to, co powiem, wyda się panu nieco zaskakujące.

Myślę, że mnie pan zrozumie: rozmawiam z panem jak mężczyzna z mężczyzną.

— W każdym razie tak mi się wydaje — odrzekłem, aby wykazać się poczuciem humoru.

Roześmiał się.

— Jeżeli chodzi o mnie, może pan być tego pewien. Proszę sobie wyobrazić, że wywarł pan ogromne wrażenie na mojej damie. Jak pan uważa, czy pańska partnerka pozwoliłaby panu spędzić z nią jakąś godzinę?

Wbrew własnej woli znów rzuciłem okiem ku jego damie. Siedziała z lekka pochylona do przodu, z łokciem wspartym o stół, a brodą — o wierzch dłoni. Światło lampy, która stała tuż obok, przydawało jeszcze jej blond

włosom złocistego odcienia. Widziana w ten sposób wydawała się nieco starsza niż wówczas, w półmroku kościoła. Wpatrywała się we mnie rozmarzonym wzrokiem. Była prześliczna.

— Nie jest to wykluczone — odrzekłem. — Wszelako chciałbym ją samą o to zapytać.

— Nie obawia się pan, że to ją zaszokuje?

— Z całą pewnością nie. Rozzłoszczę ją być może, ale nie zaszokuję. Wie pan, ona jest powieściopisarką. Interesuje ją wszystko, co niezwykle.

— Istnieją chyba jednak powieściopisarki wstydliwe.

— Jasne. I nawet takowe spotkałem. Ale ona — nie.

— Świetnie, świetnie. Zostawiam więc pana, mój drogi. Czy da mi pan znać, jeśli odpowiedź będzie pozytywna lub choćby niezdecydowana?

— Zaraz, zaraz... Ale co pan ma zamiar z nią zrobić, podczas gdy... Chcę powiedzieć: czy ma pan zamiar zająć się nią?

— Mój Boże, ma pan rację każąc mi o niej pomyśleć. Nie zastanawiałem się nad tym. Miałem¹ pewną nadzieję, jak by to powiedzieć, że będę mieć przyjemność podziwiać was w trakcie waszych, hm... waszych ewolucji. Lecz jestem naturalnie gotów służyć, hm... moją osobą, jeśli wyda się to panu konieczne.

— Nie tylko konieczne, ale wręcz nieodzowne. Jeśli przyjmiemy, iż rzecz dojdzie do skutku, to moja przyjaciółka nie zniosłaby tego, że została odsunięta od naszych rozrywek.

— Cóż za problem! Proszę jej powiedzieć, że jestem całkowicie do jej dyspozycji. Pod tym warunkiem, rzecz jasna, że przypadnę jej do gustu.

— A nie boi się pan... hm... że się pan zawiedzie? Już na pierwszy rzut oka widać, mój drogi, że straci pan na tej zamianie!

— Nie, nie podchodzę do tego w ten sposób. Najważniejsze, że moja żona ma na pana ochotę, a ja lubię być dla

niej miły. Poza tym nie mam nic przeciwko urozmaiceniu przyjemności. I wreszcie wiem z doświadczenia, jak niebywałych rozkoszy można oczekiwać od pewnych dojrzałych już osób.

— Otóż to — powiedziałem. — Nie spotka pana w tej mierze żadna przykra niespodzianka. Rosalie ma wspaniałe ciało i bardzo piękne piersi. A do tego wyobraźnię, która byłaby w stanie uwieść nawet takiego konesera jak pan.

— Ach, Rosalie! — rozczulił się tamten. — Cóż za czarujące imię! „Ledwie posłyszał, a już ogniem płonę!” przekonał mnie pan. Będę więc świadczył wszelkie usługi Rosalie.

— Hola, mój panie! Niech się pan tak nie rozpędza! Ona jeszcze nie wyraziła na to zgody!

— Oczywiście. Ale nie żywię tutaj najmniejszych obaw: jestem pewien, że pan potrafi jej to świetnie wytłumaczyć i że już teraz możemy liczyć na jej przyzwolenie.

Pochylił się w moją stronę i szepnął:

— Niech pan pomyśli o tym, co pana samego czeka... Był niemal złotousty.

— Pamiętam o tym — odrzekłem. — I proszę mi wierzyć: zrobię, co tylko w mojej mocy, aby przekonać Rosalie. Proszę czekać w hotelowym barze. Jeśli wszystko się uda, przysiadziemy się do pańskiego stolika. W przeciwnym razie wrócimy wprost do siebie.

— Zgoda.

Obiekt naszych rozważań ukazał się właśnie na skraju tarasu. Rosalie, odziana w swój kombinezon koloru wczesnej nocy, miała doprawdy klasę.

— Oto ona — powiedział tamten facet. — Zostawiam was samych. Do szybkiego zobaczenia. Przynajmniej mam taką nadzieję...

— Ja także sobie tego życzę. Ukłony dla pańskiej małżonki.

Uśmiechnął się do mnie, skłonił i wycofał. Rosalie powróciła do naszego stolika.

— Zna pan tego jegomościa? — zapytała mnie siadając przed pustym talerzem. — A właściwie, czy mógłby ' pan zamówić dla mnie kawę?

— I to natychmiast. Nie, nie znam go. Skorzystał z pani nieobecności, aby uczynić mi pewną propozycję.

— Co za tupet!

— Proszę zważyć, że nie tylko mnie samemu. Gdyż proponuje nam „partyjkę” w kwartecie. Co pani o tym sądzi? Rosalie rzuciła okiem w ich stronę. W tej samej chwili pojawił się kelner. Skinąłem nań.

— On wygląda całkiem do rzeczy — powiedziała. — Ale wydaje mi się, że pan skorzysta więcej niżli ja.

— Pod warunkiem, że „świergot barwie piór dorówna”.

— Cóż, to się zdarza.

— No więc?

— Czemu nie? — odrzekła w zamyśleniu. Podszedł do nas kelner. Zamówiłem dwie kawy. Oddalił się. Pochyliłem się w jej stronę.

— W takim razie, Rosalie, niech pani udaje, że nie jest pani z tego zbyt zadowolona. Niech pani zmarszczy brwi. A kiedy podadzą kawę, niech pani miesza ją niecierpliwie. I odpowiada co najwyżej monosylabami, podczas gdy ja będę pani długo coś tłumaczył.

Zmarszczyła czoło.

— A po co to wszystko?

— Bo wolę, aby tamci dwoje nie myśleli, że jest pani gotowa rzucić się na szyję pierwszemu lepszemu. Niech lepiej dojdą do wniosku, że kosztowało mnie wiele zabiegów, nim panią zdołałem przekonać. Powiedzmy, że to przez wzgląd na pani reputację. Że niby jest pani wszystkiego ciekawa i pozbawiona przesądów, ale nie sposób uznać jej za nimfomankę. Rozumie pani?

Uśmiechnęła się uśmiechem zarazem wzruszonym i wzruszającym.

— Uwielbiam pana, Gwennie. I sama nie rozumiem, jakim cudem mogłam tak długo obchodzić się bez pana.

— I ja nie mogę tego pojąć.

Wrócił kelner. Postawił przed nami dwie filiżanki. Rosalie mogła długo i niecierpliwie zmagać się z cukrem, albowiem jego kostki sprawiały wrażenie okruchów skalnego kryształu i były niemal nierozpuszczalne. Zaczęłam przemawiać do niej szeptem, tak jakbym coś zawzięcie perswadował. Lecz opowiadałem jej tylko przerażającą historię, jaką wyczytałem dziś rano w „Nice-Matin”: porwanie dziecka, po którym nastąpiło żądanie okupu; nikt nie mógł nic pojąć z tej całej historii i wszyscy gubili się w domysłach, policja zaś jak zwykle nabrała wody w usta. Rosalie popijała małymi łydkami kawę. Nie spoglądała na mnie, lecz od czasu do czasu wykonywała twierdzący lub też przeczący ruch głową. Położyłem dłoń na przegubie jej ręki i gładziłem ją lekkim czułym gestem, przekazując zarazem wiadomość, iż w końcu sama gazeta postanowiła rozgryźć tę aferę i dzień po dniu informować o wszystkim swoich czytelników. Aż do samego końca, bez względu na efekty.

Wówczas Rosalie wzruszyła ramionami i powiedziała dość wyraźnie:

— Niech pan robi, co tylko pan zechce.

— A czy panią to w ogóle bawi? Bo w przeciwnym razie zrezygnuję.

— Może mnie to akurat zabawi. Zobaczymy. A poza tym sprawi mi przyjemność móc panu zaofiarować tę smarkatą. Będzie to czymś w rodzaju mej wdzięczności za udaną wycieczkę.

Ująłem jej dłoń i pocałowałem.

— I czuje się pani w stanie ponieść wszelkie ryzyko tego przedsięwzięcia?

Rosalie znów rzuciła okiem w stronę tamtego faceta. Nie patrzył teraz ku nam.

— Och, tak — powiedziała. — Zresztą zechce pan wziąć pod uwagę, że nie ja sama będę ryzykować. A będąc z panem niczego się nie boję.

102

— No cóż, ja jestem zdania, że należy spróbować. A jeśli nam się to nie spodoba, zawsze będziemy mogli się wycofać.

Uśmiechnęła się do mnie.

Dopijaliśmy właśnie kawę, gdy kątem oka spostrzegłem, że tamta perwersyjna para wstaje i wraca do siebie. Gdy wychodzili, facet skinął mf nieznacznie głową, atoli młoda dama nie zaszczyciła nas nawet spojrzeniem. .

— Każemy im poczekać na siebie z pięć minut — powiedziałem ' do Rosalie.

— Jak pan sobie życzy.

— Tak czy owak powinienem poprosić o rachunek.

— Niech pan zaczeka. Wypiłabym chętnie jeszcze jedną kawę.

— Wypije ją pani wspólnie z naszymi nowymi przyjaciółmi. Tak będzie chyba bardziej elegancko.

— Być może. Jak pan sądzi, czy powinnam cokolwiek poprawić swą urodę?

— Nie. Uważam, że wygląda pani bardzo dobrze. ' — Jest pan nadto uprzejmy.

Przechodził właśnie kelner. Skinąłem nań. Zbliżył się do stolika.

— Czy mógłby pan nam przysłać rachunek do baru?

— Ależ oczywiście, proszę pana.

— Dziękuję.

Rosalie sięgnęła po torebkę. . — Idziemy?

— Niecierpliwimy się, co? Uśmiechnęła się.

— Trochę tak. Choć nie— sprostowała. — Powiedzmy, że naprawdę mam ochotę na drugą kawę.

Wstaliśmy od stolika.

Gdy tylko weszliśmy do baru, ledwie oświetlonego przez przyćmione lampy, tamten facet wstał i podszedł do nas.

— Pozwólcie sobie przedstawić moją żonę powiedział. — Oto Tania. A ja mam na imię William.

100

Zwrócił się w naszą stronę.

— Pani — dorzucił z uśmiechem — jest zapewne Rosalie.

— Natomiast ja — dopełniłem prezentacji — mam na imię Gwen. Wybaczcie mi to barbarzyńskie miano. Z wdzięczam je memu celtoliguryjskiemu pochodzeniu.

— Ależ to wręcz czarujące! — zawołał William. — Usiądźcie państwo koło nas. Chcecie się czegoś napić?

— Rosalie życzy sobie drugiej kawy — powiedziałem. — W każdym razie tak było kilka minut temu. Ja osobiście wolałbym gin-fizz.

Usiedliśmy, podczas gdy nasz gospodarz skierował się w stronę baru.

— To wprost rozkoszne miejsce — powiedziała Rosalie.

— I bardzo „światowe”. Czy często tu bywacie?

— Niekiedy — odpowiedziała Tania, — Mój mąż jest kolegą z dzieciństwa właściciela hotelu. Toteż jesteśmy tu podejmowani jako przyjaciele.

— To musi być bardzo przyjemne, gdy ma się przyjaciół zamieszkałych w tak uroczym miejscu.

Uśmiechnęły się do siebie, aczkolwiek nie wiem, czy robiły tó z serca.

Z bliska Tania zdawała się starsza o pięć lub sześć lat niż widziana z daleka, ale nie miałem powodów do narzekań. Jej oczy były ciemnoniebieskie, granicząc niemal z idygo. Miała prześliczną szyję. Zresztą wszystko w niej było pełne wdzięku: jej plecy, ramiona i ruchy.

Powrócił jej mąż, a w ślad za nim kelner, który przyniósł zamówione przez nas napoje.

Kiedy już odszedł. William pochylił się w moją stronę.

— Byłoby lepiej, gdybyście wzięli tu pokój — powiedział.

— Miałem właśnie taki zamiar. Należy przestrzegać konwenansów.

— A poza tym... to dla wygody — dodał. — Trudno

sobie wyobrazić, do jakiego stopnia można się czuć czasem skrępowanym, kiedy cztery osoby spotykają się w jednym pokoju...

— Problem w tym, że nie przewidywaliśmy noclegu. Toteż nie mam ani maszynki do golenia, ani szczoteczki do zębów.

— Pożyczę panu mojej.

— A ja mojej szczoteczki — dorzuciła Tania. Zwróciła się do Rosalie:

— Jeśli pani wypierze majtki w umywalce, na rano będą już suche.

— Nie martwię się z powodu majtek. Kłopot już raczej z moją sztuczną szczęką.

Parsknąłem śmiechem.

— Nie wiercie jej. W zębach mogłaby bez trudu miażdżyć orzechy. Jej prawdziwy problem to sztuczna noga.

Roześmiali się. Wtórując im, Rosalie ukazywała swe doprawdy zachwycające uzębienie.

Zająłem się pokojem: zaproponowano mi siódmkę, na pierwszym piętrze, od strony ogrodu i z widokiem na morze.

Zwróciłem hotelarzowi uwagę, iż ów widok z okna mógłby posłużyć do sporządzenia widokówek noworocznych, lecz uczyniłem to tylko dlatego, by w jakiś Sposób zrównoważyć jego profesjonalną grzeczność. .

Potem wróciłem do stołu i zdałem relację z wyników mych poczynań.

— W takim razie będziemy sąsiadami — zauważył uprzejmie William. — Bo my mieszkamy pod numerem dziewiątym.

— Facet z recepcji musi być chyba dobrym psychologiem — stwierdziłem.

— Sam się czasami nad tym zastanawiam — odrzekł. Tania wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

— Pójdziemy pierwsi? — zaproponowałem Rosalie.

— Pójdę za panem.

Dopiłem kieliszek.

— Zaczekajcie — powiedział William. Gdyby Rosalie była tak dobra i dotrzymała mi towarzystwa pod dziewiątką, w pokoju, który bardzo lubię, bo zdążyłem się do niego przyzwyczaić, Tania mogłaby pójść do Gwena pod siódemkę. Co o tym myślicie?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie mam w tej mierze żadnych upodobań. Bo nie znam jak dotąd ani siódemki, ani dziewiątki.

— A pani? Czy nie ma pani jakiś przesądów związanych z liczbami?

— Nie — powiedziała Rosalie. — Nawet liczba trzynaście mnie nie przeraża.

— No więc niech pani wyruszy za kilka minut. Zastanie pani klucz w drzwiach.

Weszliśmy po drewnianych schodach, których stopnie "pokryte były wspaniałym dywanem. Rozstaliśmy się przed dwojgiem sąsiadujących ze sobą drzwi. Mimo wszystko robiło to na mnie dość dziwne wrażenie: jeszcze nigdy nie znalazłem się w takiej sytuacji.

Wziąłem Rosalie w ramiona i pocałowałem ją gwałtownie.

— Niech pani nie zapomina, że to właśnie ja panią kocham. Proszę...

Uśmiechnęła się lekko.

— Duży głuptas. Czy to wszystko jest aż takie ważne?

— Nie wiem. Być może będziemy to wiedzieć jutro rano.

— Ale chyba spotkamy się wcześniej niż jutro, nie sądzi pan?

— Niewątpliwie. Lecz będzie to pewnie zależeć od stanu naszych sił. Bo może za jakąś godzinkę zapadniemy w głęboki sen, nieprawdaż?

— Nie sądzę — powiedziała.

Każde z nas otworzyło swoje drzwi. Pokój numer siedem był dość mały. Miał tylko jedno okno, dużą

prowansalską szafę, skromny stolik do pisania, dwa fotele oraz łóżko, które zajmowało całe wolne miejsce. Musiało to być jedno z tych pomieszczeń, które hotelarze nazywają „pokojami nowożeńców”.

Jedne drzwi prowadziły do luksusowej łazienki. Skorzystałem ze wszystkich jej urządzeń i z braku mojego zwykłego Gwen Rater sięgnąłem po mydelko ofiarowane przez kierownictwo hotelu, perfumowane na modłę Jean-Marie Farina.

Na wieszaku wisiał płaszcz kąpielowy frotté w kolorze kanarkowym. Ubrałem się weń i powróciłem do pokoju.

Tania już tam była. Nie słyszałem, kiedy weszła. Zdjęła buty i wyciągnęła się na łóżku, całkiem ubrana, z rękoma pod głową.

Usiadłem obok niej.

— Żałuje pani? — zapytałem.

— Nie. Dlaczego?

— Tak sobie pomyślałem. Bywa, że ochota mijają tuż u samego progu ziszczenia się marzeń.

— Nie mnie. A w każdym razie nie dziś wieczorem. Mówiła z lekkim cudzoziemskim akcentem, którego nie potrafiłem określić. Tania to przecież imię słowiańskie... Rosyjskie albo polskie.

Przysunąłem się bliżej. Pachniała werbeną i jakby olejkiem bergamotowym. Pochyliłem się nad nią i ucałowałem w głębienie po przeciwnej stronie łokcia. Wolną ręką pogładziła mnie po karku.

— Dlaczego znalazłem się tak blisko pani? Cóż właściwie oznacza ten cud?

— Nic. Nic nie oznacza. To tylko dowód przyjaźni, który dajemy sobie w przelocie.

— Chciałbym móc ujrzeć pani ramiona — powiedziałem. Rozpięła górną część swej sukienki i, nie wstając, wyzwoliła się z niej. Ukazała dwoje rozkosznie zarysowanych ramion. Jej skóra miała barwę jutrzeńki z lekkim odcieniem masy perłowej.

Rozpiąłem resztę guzików i zsunąłem jej suknię poniżej bioder. Ukazał się stanik, sporządzony zda się z pajęczej sieci. Dwie średniej wielkości półkule, naznaczone cynamonowymi punkcikami sutków, unosiły się wraz z każdym oddechem nie tyle arogancko, co może raczej-dumnie. Brzuch miała płaski, gładki, z dość wydatnym pępkiem. Dalej ukazywały się przezroczyste majteczki, zda się cień tkaniny, nie tyle osłona, co wabik, nie ochrona, lecz ofiara, nie obrona, lecz obietnica. Dalej, w zaciszu delikatnych, acz dobrze umięśnionych ud, spoczywał rozkoszny kwiat spowity we mchy blond włosów.

Pochyliłem się nad koroną kwiatu, wsunąłem język i pocałem ją pieścić poprzez jedwab.

A wówczas ona sama uwolniła się od dzielącego nas skrawka materii i szerzej rozwarła nogi. Przywarłem więc wargami do jej begonii, wysysając cały nektar.

Wsunęła swą prawą dłoń w okolice mej twarzy i jęła pieścić się sama, wpięrk wolno, potem wciąż szybciej i szybciej, podczas gdy ja nadal robiłem swoje. Ucałowałem jej dłoń i zanurzyłem głębiej język, wprost w rozwarty kielich kwiatu.

Zaczęła głośno dyszeć. Wsunąłem kciuk w wąską szparę jej bruzdy i wzmogłem ucisk. Jęczała przez dobre dwadzieścia sekund, a później jej ciało napięło się gwałtownie. Krzyknęła i wraz z tym krzykiem doznała odprężenia.

Przymknęła oczy i usiłowała oddychać nieco wolniej. Położyła dłoń na moim policzku.

— Pan jest kochany — szepnęła. — Naprawdę kochany. Dziękuję, że pan tu przyszedł.

— Dziękuję za to, że pani mnie przyjęła — odpowiedziałem.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie. I jednocześnie wykonała gest, który mnie wprowadził w zdumienie: uniosła oba palce do ust, dokładnie te, których wcześniej używała podczas swych pieszczot i zaczęła je ssać, tak jak by czyniło to dziecko.

Spostrzegła moje zdumienie i wybuchnęła śmiechem.

— Lubię ten smak — powiedziała. — Kiedy mnie już pan wycnędoży, też będę pana tak ssać, aby odnaleźć ów smak na pańskim grążelu.

Przy jej wyraźnie cudzoziemskim akcencie powyższe słowa zabrzmiały dziwnie obco, co ujęło im trochę wulgarności. Wzruszyłem ramionami.

— Jeżeli zechce pani possać Rosalie — powiedziałem — to proszę się nie krępować. Ona to uwielbia.

— Muszę poprosić Williama, żeby mi pozwolił.

— Uważa pani, że mógłby sobie tego nie życzyć?

— Nie wiem. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

— Chce więc pani powiedzieć, że miałem dużo szczęścia?

— W pewnym sensie. Uśmiechnąłem się lekko.

— No więc, mój śliczny skarbie, pozwól, że skorzystam z tej okazji do końca...

Wstałem, rozchyliłem poły mego szlafroka i ułożyłem się na Tani. Objęła mnie ramionami, rozwarła uda i wycisnęła na mych wargach namiętny pocałunek. To prawda, że jej usta miały teraz posmak jej szparki. Moje niewątpliwie też. Nadziałem ją łagodnie, acz dogłębnie, najgłębiej, jak tylko mogłem. Miała niewielki seks, czuły i delikatny, jak drażniątko dopiero co rozdzewiczonej dziewicy.

Przyciskała mnie mocno do piersi i do brzucha, ale nie wykonywała żadnych innych gestów. Jej wargi przekazywały moim wargom jakąś ledwie wyrażalną skargę, zwie. rzęce tchnienie bólu, iście barbarzyński oddech.

Nie szczędziłem wysiłków. Usiłowałem zarazem tak manipulować mym guliwerem w jej prześlicznym gniazdku, aby móc pieścić wszystkie jego ścianki i jednocześnie masować różowy guziczek nasadą mego zucha. Nie sposób tego dokonać bez odrobiny doświadczenia i staranności. Lecz mnie stać było na jedno i drugie.

Gdy już bryznąłem nasieniem, jej skargi nabrały jeszcze większej słodyczy.

Wsparłem głowę na jej ramieniu, lecz nadal pozostawałem gdzieś w czeluściach podbrzusza, nie poruszając się wcale. Zawsze uważałem, iż opatrność czyni czasem iście królewskie prezenty. I jednym z nich była właśnie Tania. Powiedziałem jej o tym. Przyjęła to moje oświadczenie niezwykle poważnie, niemal z czymś na kształt melancholii. A potem ułożyła się na mnie, wcisnęła swe lewe udo pomiędzy moje uda i zaczęła się o nie ocierać, tam i z powrotem, łagodnie drażniąc mą skórę.

— Nie przeszkadzam? — zapytała po chwili.

— Wcale nie — stwierdziłem skwapliwie. — Wręcz przeciwnie. To daje mi odprężenie...

Ażeby dowieść, że# nie mam nic przeciwko temu, wcisnąłem dłoń pomiędzy nasze ciała i Włożyłem jej palec serdeczny w kaczątko, a wskazujący drugiej ręki pomiędzy pośladki i jąłem nimi delikatnie poruszać.

Po dwóch lub trzech minutach Tania sprężyła się cała i znów zaczęła jęczeć. Wzmogłem ucisk mych palców. Ukąsiła mnie w ramię, zda się, w przyływie wściekłej jakiejś rozkoszy.

Ta młoda kobieta opanowała sztukę rozkoszy w tak znacznym stopniu, że przewyższała inne, jakie dotąd spotkałem, wprawiając mnie bez przerwy w najwyższe zdumienie.

W jakiś czas później, gdy już zdążyliśmy poznać wszelkie tajemne zakątki naszych ciał, przyszedł mi do głowy pomysł, którym za wszelką cenę musiałem się z nią podzielić.

— Czy pozwoli mi pani nanizac się od tyłu? — szepnąłem jej do ucha;

— Czuję się trochę zakłopotana, bo Williamowi nigdy jeszcze dotąd na tó nie pozwoliłam.

— I to jedyny powód?

— Tak. Gdyż bardzo możliwe, iż on nas teraz obserwuje. — Mówi pani poważnie?

— Nie jestem tego pewna, ale kiedyś słyszałam, że pomiędzy tym i sąsiednim pokojem jest coś w rodzaju judasza.

— Przenika mnie to wstrętem. Chcę przez to powiedzieć, że czuję obrzydzenie na samą myśl, że ktoś by mnie mógł podglądać, czyniąc to bez mojej wiedzy.

— Powtarzam więc panu, że wcale nie jestem tego pewna. William zawsze, ilekroć go o to pytam, zbywa mnie byle żartem. I nie chcę ryzykować. Bo gdyby stwierdził, że robię z panem to, czego jemu zawsze odmawiałam, ogarnęłaby go zazdrość. A może nawet wpadłby w straszny szal.

— A więc dlaczego mu pani na to nie pozwala?

— Ponieważ jest to coś, co chciałabym zachować. Bardzo kocham Williama. On wobec mnie zachowuje się wyjątkowo poprawnie. Jest dobrze wychowany, czysty i ładnie pachnie. Ale nie chciałabym mu dawać „wszystkiego i zaraz”...

Uśmiechnąłem się do niej.

— Aż dotąd byłem tego samego zdania, co i pani. Ale Rosalie jest taka rozkoszna, że nie mogę jej niczego odmówić.

— Czy moglibyśmy się spotkać w ciągu najbliższych dni? Czy Rosalie pozostawia panu choć trochę swobody?

Chciałabym bardzo, aby pan nadział mnie w ten sposób. Pan jest taki delikatny. A poza tym jestem pewna, że mamy sobie, mnóstwo do powiedzenia.

— Ja też jestem o tym przekonany.

— Niech pan do mnie zadzwoni przed dziesiątą rano. Gdy jestem w domu, czuję się taka samotna...

— Nie mieszka pani ze swym mężem?

— To nie jest mój mąż. Nosimy obrączki, żeby mieć

święty spokój, kiedy on mnie wprowadza gdzieś do towarzystwa albo zabiera do swoich przyjaciół. Ale ja obstaję przy swej niezależności.

— Rozumiem. Dokąd mam dzwonić?

Szepnęła mi do ucha numer telefonu. Numer, którego wolę wam tu nie powtarzać. Za to ona powtórzyła mi go pięć razy pod rząd, abym dobrze zapamiętał.

W tym samym czasie Rosalie dokonywała odkryć. Opowiedziała mi jednak o tym dopiero następnego dnia rano.

11

Kiedy William spotkał się z Rosalie, która czekała nań w pokoju numer 9, zaczął jej gorąco dziękować. Podwójnie: za łaskę okazaną jego żonie i za łaskę w jego oczach jeszcze ważniejszą. Tę, którą zechciała okazać jemu samemu. Skorzystała z tego, aby wyjawić swe zdziwienie.

— Pan wybaczy — powiedziała — ale mężczyźni, których znam, gdyby mieli towarzyszek życia równie piękne jak pańska żona, byliby o nie zazdrośni jak tygrysy. Nie ryzykowaliby proponowania ich pierwszemu lepszemu.

— Chciałbym pani podać coś do picia — wykręcał się William. — Dzięki szczególnym względom gospodarzy mam tutaj barek i małą lodówkę. Jest tu szkocka, burbon, porto, schweppes, a nawet, jeśli pani zechce, szampan.

— Nie, dziękuję. W moim wieku muszę zacząć uważać na wątrobę.

Uśmiechnął się wytwornie. — Droga przyjaciółko, jeśli już teraz będziemy zmuszeni uważać, to co nam przyjdzie począć za lat dwadzieścia?

— Być może to samo.

Nalał sobie na grubość palca burbona bez lodu.

— Tak czy owak, pani zdrowie.

— Bardziej niż pańskie, to pewne... Pociągnął łyk.

— Dotknęło mnie to pani pytanie — odparł. — Widzi pani, nie jestem już taki młody. Tania ma ognisty temperament. Nie mogę jej zaspokoić i nie byłbym chyba w stanie uczynić tego nigdy, nawet będąc młodszym. Ale zależy mi na niej. Kocham ją na swój sposób. Wolę folgować jej drobnym zachciankom, niż pozwolić, żeby mnie porzuciła. Poza tym pani przyjaciel nie jest „pierwszym lepszym”. Jest czarujący i sprawia wrażenie prawdziwego dżentelmena. Toteż czuję się poniekąd tak, jakbym mu powierzył swoją córkę na wieczorek taneczny. — Wybuchnął śmiechem, który zdał się Rosalie wymuszony. Nie uczyniła żadnego komentarza, toteż zaległa między nimi cisza, podczas której on pociągał z kieliszka.

— Ach — powiedział nagle — a gdybyśmy sprawdzili, co robią nasze dwie turkaweczki?

— Nie przeszkadzajmy im — poprosiła Rosalie.

— Ależ oni nic o tym nie będą wiedzieć, droga pani. Proszę...

William zdjął dwa obrazy zawieszone po obu stronach ślicznej siedemnastowiecznej komody, zdobiące dotąd ścianę, która dzieliła obydwie pokoje. Jeden przedstawiał Menton z czasów Rewolucji, drugi — wielki trójmasztowiec zmagający się z burzą. Odsłonił dwa wizjery.

— Zechce się pani pofatygować? — zaproponował. Rosalie podeszła bliżej.

— Jestem na to za niska — powiedziała.

— Przepraszam.

Zakrzętnął się, ułożył przed wizjerem numer jeden stertę z dwóch albo trzech poduszek i dopomógł Rosalie wspiąć się na nią.

— Tak będzie dobrze?

— Tak, doskonale. Dziękuję.

Skierował się ku drugiemu wizjerowi, który był dokładnie na wysokości jego oczu.

Sądzę, że musiał trafić na sam początek spektaklu, na moment, gdy dopiero rozbierałem Tanię.

— To bardzo sprytne — powiedziała Rosalie. — A jak to wygląda z drugiej strony?

— Są tam dwa obiektywy, bardzo maleńkie, ukryte w dwóch elementach dekoracyjnych ściany: jeden w środku małego elektrycznego zegara, drugi zaś — w lewym oku wypchanej głowy kozicy. Bardzo trudno je zauważyć, nawet kiedy się wie, gdzie są.

Odwrócił się.

— Za chwilę będzie ciekawiej — stwierdził. — Bo jeszcze nie zdążyli zacząć na całego. Przepraszam na minutkę. Udał się do łazienki. Rosalie usłyszała wpieryw zwykle odgłosy cieknącej wody, a zaraz potem jej amant pojawił się znów w pokoju. Był otulony w szlafrok w stylu chińskim czy japońskim, ciemnoczerwony z czarnymi wyłogami, haftowany w złote i srebrne smoki.

— Moja kolej — mruknęła Rosalie.

Wszedłszy do łazienki poczuła się nieco zdeprymowana faktem, że nie ma przy sobie nocnego stroju: pod motocyklowym kombinezonem miała jedynie majteczki i biustonosz.

Rozebrała się, umyła, wyprała bieliznę w umywalce i obydwie części powiesiła na zgięciu przewodu prysznica, ażeby tam wyschły.

Potem znów wciągnęła kombinezon i wróciła do pokoju.

William zrozumiał wszystko już na pierwszy rzut oka.

— Droga pani! — zawołał. — Wszak nie zostanie pani chyba w okowach tego niewygodnego stroju! Pozwoli pani, że jej zaofiaruję na ten wieczór dezabil o wiele bardziej stosowny!

Otworzył schowek na ubranie, wyjął zeń rozkoszny szlafroczek z mandarynkowego szantungu i podał go Rosalie.

— Jestem pewien, że będzie w tym pani cudownie!

— Ależ to dla mnie zbyt piękne!

— Proszę, niech mi pani pozwoli samemu osądzić...

Nie było jej zaledwie minutę. Jednak nim powróciła, William podglądał nas przez swoje szklane oko. Odwrócił się w jej stronę.

— Zachwycająca — ocenił.

A potem wrócił do swego wizjera. Rosalie zrobiła to samo. Później doniosła mi, że akurat kończyłem ssanie Tani.

— A my? — zapytała zniecka. — Kto nas z kolei podgląda?

— Nikt, droga przyjaciółko. Nikt. Jesteśmy teraz w moim prywatnym gniazdku. Z zawodu jestem architektem, toteż sam pracowałem nad jego urządzeniem.

— Niech pan zważy, że w gruncie rzeczy jest mi to zupełnie obojętne. Pod warunkiem, że nie będę o tym wiedziała.

— Ma pani rację — mruknął jej do ucha. Zbliżył się. Przyklęknął za nią, uniósł delikatnie dolną część dezabilu i począł jej omiatać językiem śróddupcze. Nie poruszyła się nawet. Dopiero wówczas, gdy ją nalegać, aby rozwarła nogi, uczyniła mu zadość. Wyciągnął bardziej język, ale i tak nie udało mu się dosięgnąć upragnionego kielicha powoju.

Wówczas podźwignął się i pełnym galanterii ruchem zaofiarował ramię Rosalie.

— A gdybyśmy tak ułożyli się nieco wygodniej? — zaproponował.

Poszła za nim. Wyciągnęli się na łóżku. Pieścił ją w roztargnieniu, prawiąc komplementy na temat jej jędrnych piersi, delikatnego pępka, płaskiego brzucha, zwiewnego, choć gęstego zarazem runa na podbrzuszu, smukłych ud i upajającej woni, jaka emenowała z niej całej.

Słuchała go z uśmiechem, na wpół z politowaniem i na poły kpiąca, nie mogąc się dopatrzeć w tym wszystkim najmniejszej pokusy.

W końcu wyciągnął się na niej, a ona potulnie przybrała dogodną pozycję.

— Boję się — stwierdził William — że nie będę tak sprawny, jak pani młody centaur. Mam jednak nadzieję, iż nie będzie mi pani miała tego za złe.

— Ja także nie kryję już w sobie uroków pańskiej antylopy.

Przeniknął ją łagodnie.

Myślę, że wam już kiedyś wspominałem, iż seks Rosalie nie nadał jak gdyby za wiekiem swej właścicielki.

(Pozostawmy na uboczu rozważań zakonnice-eremitki, w których pipkach z trudem zmieściłby się fifaczek jedenastoletniego chłopięcia). Zachował on bowiem sprężystość i żywotność, jakie wiele współczesnych dorastających panien dawno już utraciło. Ale to sprawa i kłopot facetów, którzy je dosiadają.

A jednak, pomimo wszystko, William zdołał ją wzruszyć, przeszyć, skłonić do uległości oraz przeniknąć dreszczem pożądania.

Właśnie odpoczywali po swoich potyczkach, przytuleni do siebie, milczący, gdy nagle otworzyły się drzwi i ukazała się w nich Tania.

— Williamie — oświadczyła głosem małej dziewczynki — chciałabym possać trochę Rosalie. Czy mi na to pozwolisz?

— Ależ — odrzekł jej William, głosem raczej sennym i wolnym od nuty zmieszania — wydaje mi się, że to raczej ją należałoby zapytać!

— Rosalie, chciałabym panią possać. Czy mogę?

— Jakże to tak, moja droga? Tutaj? Zaraz?

— Kiedy pani zechce. W sąsiednim pokoju.

— A co na to Gwennie?

— On nic nie powie. Zasnął. Myśli pani, że może go to rozgniewać, gdy się obudzi?

— Nie. Jeśli go znam, raczej go to ubawi.

— No więc? '

— Za minutkę.

— Dziękuję.

Tania wyszła. Drzwi zamknęły się za nią bezszelestnie.

— No i? — zapytała Rosalie.

— Ci młodzi są wprost okropni — mruknął William. — To pani musi zdecydować, droga przyjaciółko. Ja nie mam najmniejszego powodu sprzeciwić się tak niewinnemu życzeniu. Ale być może pani ma jakieś powody.

— Ależ nie, doprawdy. Gdyby mi zaproponowała odwrotną sytuację, odmówiłabym na pewno. Lecz. jeśli ona chce to robić, nie widzę powodu, dla którego miałabym ją pozbawić tej przyjemności.

— Dziękuję, Rosalie. Mnie również sprawi tym pani przyjemność.

— Bo będzie pan nas mógł upokorzyć przy pomocy swej lornetki?

— Możliwe. Jestem ciekaw reakcji Gwena, gdy się obudzi i zastanie was u swego boku. Bo z pewnością go obudzicie.

— O tyle łatwiej, że zapewne tylko udaje, że śpi. Po to, by nieco wypocząć. Widzi pan, on jest do tego zdolny.

— Wobec tego na pewno będę was podglądać. Dopiero co pani oświadczyła, że jest to pani całkiem obojętne.

— Mimo wszystko postaram się nie okazać śmieszna.

— Có do tego nie mam żadnych obaw, mogę panią zapewnić.

— Ach tak. I sądzi pan, że powinnam teraz pójść?

— Dobrze by pani zrobiła. W przeciwnym razie mała może tu powrócić. Jest bardzo niecierpliwa.

— Więc biegnę się poświęcić.

Rosalie weszła po cichu do sąsiedniego pokoju. Zdaje się, że istotnie sprawiałem wrażenie śpiącego., Tania zwinęła się w kłębek u moich stóp.

— Niech pani tutaj przyjdzie, droga Rosalie — szepnęła. — Niech pani pozwoli tu do mnie.

Zrobiła jej miejsce, usiłując poruszać się ostrożnie, lecz mimo wszystko obudziła mnie. Uśmiechnąłem się do nich.

— Dzień dobry, kochaneczki, czy wszystko idzie tak, jak chciałyście?

— Raczej tak — powiedziała Tania. Rosalie zadowolona się skinieniem głowy.

— Jak ślicznie w tym wyglądasz — rzekłem jej w odpowiedzi.

Zauważyłem właśnie jej dezabil. Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Wstałem. — Wypiłbym kieliszek. Nie ma przypadkiem barku w tym pokoju?

— Jest, ale w pokoju obok.

— A więc pójdę tam; Do zobaczenia! Bądźcie grzeczne! Obciągnąłem poły mego płaszcza kąpielowego, zawiązałem pasek i wyszedłem.

Przypuszczam, że William widział, jak to robiłem, tak że miał jeszcze czas przysłonić swoje małe urządzenie optyczne, gdyż zastałem go leżącego na łóżku, w trakcie zapalania papierosa. Czym prędzej podał mi kieliszek. Rosalie nie opowiedziała mi o całym seansie z Tanią. Zwierzyła się jedynie z części.

Po moim odejściu młoda kobieta popieściła ją troszeczkę, rozchyliła jej dezabil, ucałowała piersi, a potem, jak ogarnięta szałem, przewróciła na łóżko, rzuciła się na jej kępkę i zaczęła ją ssać pomrukując z rozkoszy.

Wpierw nie zrobiło to na Rosalie zbyt dużego wrażenia. Była zbyt spięta, raziła ją teatralność tej całej sytuacji. Lecz potem rozluźniła się nieco. Zresztą ta mała miała technikę zdolną doprowadzić do jęku nawet siostrę karmelitankę.

Ach, jakaż była w tym dobra!

Po chwili Tania odezwała się w te słowa:

— Jeżeli zechce mi pani nasikać do ust, to proszę się nie krępować. I tak wszystko połknę.

— Nie tak zaraz — mruknęła Rosalie. Mimo wszystko ten pomysł wydał jej się zabawny.

W pokoju numer 9 pociągaliśmy burbona, a William

czynił pewne melancholijne zwierzenia. Widać musiał się nagle poczuć bardzo samotny.

Znam swój problem. Mój pieszczoszek nie jest zbyt potężny.— Jest pan tego pewien?

— No chyba. Jest to raczej coś, z czego człowiek dość wcześnie zdaje sobie sprawę w życiu. Czyż nie tak?

— Nie wiem. Boi nigdy nie porównywałem mojego z innymi...

— Nawet w szkole?

— Nie. Widać uczniowie z Brioché musieli być opóźnieni w rozwoju.

— Gwen, niech pan ze mnie nie kpi.

— Ależ nie mam po temu żadnego powodu.

— Czy wobec tego zechce mi pan oddać pewną przysługę?

— Z przyjemnością, jeśli to tylko możliwe.

— Niech więc pan się zgodzi i porówna swojego z moim.

— Chce pan przez to powiedzieć, abyśmy porównali nasze maszyny?

— Tak.

— Williamie, niech pan posłucha...

— Może zdoła mnie to uspokoić.

— Tak pan sądzi?

— A czemu by nie?

Czemu nie? Ależ to oczywiste! Wiedziałem doskonale, dlaczego takie porównanie wcale by go nie uspokoiło. Lecz, zważywszy na stopień poufałości, jaki zdążyliśmy osiągnąć, nie mogłem mu odmówić tej śmiesznej zabawy. W przeciwnym wypadku gotów by mnie uznać za straszliwego zarozumialca i gbura.

Wydobyłem swojego gargulca. A on obnażył swojego.

Ponieważ ani jeden, ani drugi nie były w stanie gotowości, wszelkie porównania nie miały oczywiście żadnego sensu. William zdawał się być zawiedziony.

— Chcę wiedzieć — powiedział. — Chcę koniecznie wiedzieć...

Zaczynałem się zastanawiać, czy aby nie wypił zbyt wiele. I nim zdążyłem wykonać jakiś ruch, aby mu w tym przeszkodzić, pochylił się nade mną i połknął mój gruby knedel.

— Nie — powiedziałem łagodnie. — Nie, Williamie. To idiotyczne, co pan robi...

— Pozwól mi — wybełkotał z pełnymi ustami. — Pozwól, chcę wiedzieć...

Jego technika należała do tych najbardziej podstawowych. Lecz nie potrzebował zbyt wiele czasu, aby mój łotrzyk osiągnął szczyt swej chwały. Ponadto operacja ta podnieciła i jego wiarusa.

Zostawił mnie i na nowo rozpoczął swe studia porównawcze.

— Widzisz? — lamentował. — Sam dobrze widzisz, że jestem co najwyżej żaloszny... I jak tu Tania może się do mnie przywiązać, zważywszy, że międlę między nogami takie oto narzędzie, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi tak bardzo wybujały temperament jak jej...

Otóż to, pomyślałem ze współczuciem. Trzeba przyznać, że nawet ja...

A William podjął swą, ustną działalność, czyniąc to z jakąś rozdzierającą melancholią. Pozwoliłem mu działać, sam obojętny na wszystko, przez cały czas myśląc zgoła o czymś innym. Na przykład o tym, że chętnie bym się położył, i to całkiem sam.

A wtedy rozwarły się drzwi. Pojawiły się panie, obie niezgorzej rozczochrane. Zaskoczył je owoż widok, jaki ujrzały.

Nie ośmieliły się zbliżyć i bezszelestnie przysiadły w drugim końcu łóżka, skąd było lepiej widać.

Tania nie przestawała oblizywać palców.

Dopiero wówczas William zdał sobie sprawę z ich obecności. Nie wypuszczając mnie z gęby jął popłakiwać:

— Widzicie, ssę mu ogon — bełkotał. — No, same widzicie.

Nie wiem, czy to za sprawą emocji, czy też skutek pojawienia się audytorium, dość, że poczułem, jak moją luźnia wzbiera sokami życia. Wysłałem mu je skwapliwie w głąb gardła w kilku długich obfitych strugach. Przyjął wszystko bez sprzeciwu, nadal miotany urywanym szlochem. Obydwie panie zachowały zdumiewający spokój.

Tania wstała, podeszła do swego przyjaciela, nachyliła się nad nim i otarła mu usta połą swego dezabilu.

— Czy coś nie tak, kochanie? — zapytała z niebywałą słodyczą. — Czy aby się czujesz dobrze?

— Tak. Nie ma się czego obawiać. Zdawało mi się to trochę trudne, jak to bywa za pierwszym razem. Ale teraz już po wszystkim. A có z tobą?

— Cudownie. Rosalie to anioł. — Tym lepiej.

Wstałem i przeszedłem do łazienki, Mój grzaśł odczuwał wielką potrzebę kuracji w zimnej wodzie. Zaaplikowałem mu ją z całym staraniem i uczuciem, jakie winni jesteśmy własnemu narzędziu pracy.

Kiedy wróciłem do pokoju, William siedział na łóżku i pociągał nową porcję wytrawnego burbona. Podał mi rękę. -

— Dziękuję, Gwen — powiedział. — Był pan znakomity. Nigdy tego nie zapomnę.

— Ja też nie — odpowiedziałem z uśmiechem. — Jest jeszcze trochę burbona w butelce?

— Z całą pewnością. Zresztą mam jeszcze jedną. Zawsze pije pan z lodem?

— Zawsze. - Obsłużył mnie. Rosalie ziewnęła.

— Jest już pół do pierwszej w nocy, a jazda motocyklem trochę mnie zmęczyła. Nie pogniewacie się na mnie, jeżeli pójde już spać?

— W żadnym wypadku, droga przyjaciółko — rzucił

szybko William. — Mam nadzieję, że będzie pani mieć piękne sny.

— Ja też mam taką nadzieję.

— W każdym razie my ze swej strony będziemy takowe zawdzięczać właśnie pani.

— Nie zamordujcie mi go tylko — dodała Rosalie spoglądając na mnie.

— Przyjdę *do* pani, o ukochana, za dziesięć minut. Czyli dokładnie za tyle, ile potrzeba na dokończenie kieliszka.

— Nie żądam od pana, aby pan się spieszył. Proszę tylko, aby pan dbał o siebie.

— No więc obiecuję.

Pocałowała mnie w nos, wyszła i zamknęła drzwi. Zapanowała cisza, zakłócana jedynie dźwiękiem kostek lodu w mej szklance. A potem:

— Co teraz zrobimy? — zapytała znienacka Tania. Uśmiechnąłem się do niej uprzejmie.

— Nie wiem, jak wy. Jeśli chodzi o mnie, to właśnie to, co powiedziałem: kończę tę szklaneczkę i idę spać.

— Szkoda. Zobacz, jaka jestem piękna.

Zrzuciła dezabil i poczęła się kręcić dokoła, z uniesionymi do góry ramionami. Jej piersi lekko falowały, jasna kępka złociła się i połyskiwała w świetle.

— Nie masz ochoty? Spojrzałem na Williama. Westchnął.

— Do dzieła, jeśli ona o to pana prosi — powiedział. — Nie odmówi jej pan chyba tej przyjemności.

— Niby jak? — odrzekłem nadąsany. — Wydoił pan ze mnie ostatnie siły.

Zaśmiał się szyderczo.

— Rozumiem — powiedział. — No i widzisz, moja droga, nawet ten waleczny rycerz nie jest w stanie zaspokoić twego wilczego apetytu. Będiesz musiała odczekać aż do jutra rana.

Przestała wirować.

120

— O wy miękotrzpienie! — rzuciła z niewypowiedzianą pogardą. . . ,

— Powtórz to jeszcze raz — warknąłem. Spojrzała mi prosto w oczy.

— Wy chwiejodragi! — stwierdziła podniesionym tonem.

Odstawiłem szklaneczkę na nocny stolik, wstałem, podszedłem do niej, złapałem ją za ramiona, wprawiłem w półobrót, zgiąłem wpół na łóżku, przyklęknąłem z tyłu i wraziłem jej co należy w zadek, czyniąc to wcale nie delikatnie.

— Och, nie! — wybełkotała.

— Dobrze by było, żebyś wiedziała, czego chcesz — zauważył kwaśno William.

Ze swego miejsca nie mógł zauważyć, do jakich to wrót wtargnąłem: pewnie sądził, że kołacę do tych, z którymi on był zżyty. Tania umilkła. A ja się zawzięłem. Już ta dziwka zobaczy, czy jestem miękkochwiejem.

Po minucie czy dwóch William wstał, podszedł do nas i wtedy wszystko zrozumiał.

— O nie — warknął wściekle. — Teraz to już posuwasz się za daleko, mój drogi.

— Zamknij się — odszczeknąłem.

— Dobrze — mruknął pod nosem.

Ale nie przestawał obserwować ciekawie dalszego ciągu mojej opreacji.

Kiedy stało się już rzeczą oczywistą, że mój zdrój zawiedzie, zważywszy, że w jego podglebiu nie było już ani kropli

— a przynajmniej przez najbliższą godzinę czy dwie — wycofałem się skwapliwie.

— Nie odchodź — popłakiwała Tania. — Zostań ze mną...

Powstałem z klęczek.

— Twoją kolej — powiedziałem do Williama.

— Tak sądzisz? — mruknął.

Lecz była to z jego strony jedynie figura retoryczna.

Zajął me miejsce i wcisnął się do rozkosznej, jeszcze ciepłej brzoskwinki swej ślicznej towarzyszki.

— Nie, nie! Tylko nie ty! — lamentowała.

— Dlaczego? — bełkotał William. — Dlaczego nie ja? Fechtował jak wszyscy diabli. Oczy wychodziły mu niemal z orbit.

Wyciągnąłem się na łóżku, ułożyłem głowę tuż obok głowy Tani i pocałowałem ją delikatnie.

— Nie masz czego żałować — mruknąłem. — Możesz mu przecież odplacić pięknym za nadobne, kiedy tylko zechcesz. Wiesz o tym dobrze.

Prychnęła z lekka, a potem skinęła głową i wyszeptwała „tak”.

— A więc dobranoc, kochana. Dziękuję za ten cudowny wieczór.

Później zbliżyłem wargi do jej ucha.

— Mogę do ciebie zadzwonić? — szepnąłem. — Rzecz jasna nie jutro, ale na przykład pojutrze?

Znów przytaknęła.

— Jesteś cudowna — dodałem. — Naprawdę. Mam cholerne szczęście, że cię w ogóle spotkałem.

Rzuciła mi pełne wdzięczności spojrzenie.

Opuściłem ich i udałem się do pokoju Rosalie.

A William, na czworakach, nadal obrabiał swoją myszkę, dysząc przy tym jak mors.

Nazajutrz rano, gdy należało się już ubrać, Rosalie przypomniała sobie, że zostawiła swą bieliznę oraz kombinezon w łazience pod dziewiątką.

— Zajrzę tam — powiedziałem.

Miałem nadzieję, że nasza para wspólników w grzechu nie zdążyła przed snem zamknąć drzwi na klucz. (Na wypadek, gdybyśmy mieli ochotę raz jeszcze do nich zajrzeć). I nie omyliłem się.

Wszedłem na palcach. William i Tania spali spleceni. ze sobą.

Tania leżała na swym przyjacielu, przerzuciwszy nogę

przez jego lewe udo, otaczając jego szyję swymi jasno-skórnymi, delikatnymi ramionami. Wypięła w stronę sufitu swe rozkoszne pośladki, które ruszały się lekko w rytm jej oddechu.

Wkroczyłem do łazienki. Kombinezon wisiał na wieszaku. Obie sztuki bielizny zdążyły już wyschnąć. Zaraz je rozpoznałem. Zresztą majteczki oraz stanik Tani zostały przecież na tapczanie pokoju numer siedem.

Przed opuszczeniem dziewiątki przeżyłem jeszcze chwilę wahania, ale nie mogłem się powstrzymać, aby nie złożyć całusa na pośladku dziewczyny.

— Do zobaczenia — szepnąłem.

A jej rozkoszna pupka wykonała dwa lub cztery podrygi, jak gdyby chciała powiedzieć mi „dziękuję”.

12

Rankiem 13 lipca, gdy rozłożony wygodnie na moim tarasie przy ulicy Berlioza maczałem właśnie kromkę chrupkiego, posmarowanego marmoladą chleba w filiżance herbaty, zadzwoniła Rosalie.

— Kochanie — powiedziała — dziś wieczorem jesteśmy zaproszeni na pokaz sztucznych ogni do mojej przyjaciółki Karoliny, która posiada balkon wychodzący na morze.

— Wspaniale — odrzekłem — uwielbiam sztuczne ognie.

— Co dzisiaj pan robi?

— Od dziesiątej do dwunastej uprawiam gimnastykę, potem idę na obiad z Reném, przyjacielem z lat dzieciństwa, który jest dziennikarzem w „Vice-Matin”, a później mam seans w atelier pewnego młodego malarza brazylijskiego, który dopiero niedawno osiadł w naszym mieście...

— Czy mogę panu towarzyszyć?

— Tak, ale może nie dzisiaj. To raczej nieśmiały i płochliwy facet. Nie lubi, gdy się do niego wpada bez uprzedzenia.

— Tak czy owak to idiotyczne, że wystąpiłam akurat z taką prośbą, bo prawdę mówiąc nie mam teraz czasu.

— Najpewniej wrócę do domu około godziny siódmej. A pani?

124

- Och, ja będę zmuszona pracować przez cały dzień. Brakuje mi jeszcze trzydziestu stron *Narzeczonej latarnika*, którego ostatnie trzy rozdziały muszę w przyszłym tygodniu przesłać do Tallandiera. Okładka jest już wydrukowana...
- Biedne moje kochanie!
- Kochanie, mam nadzieję, ale wcale nie biedne.
- Przepraszam.
- Przyjdzie pan po mnie około dziewiątej?
- Wie pani dobrze, moja droga, że gotów jestem wziąć panią choćby zaraz...
- Idiota — powiedziała. — Choć prawdę mówiąc... Wahała się przez parę sekund.
- Choć prawdę mówiąc mógłby pan też zabrać swojego braciszka." Karolina mogłaby go adorować.
- Zaraz go powiadomię. Muszę go wpierw odnaleźć w Instytucie Kulturyścym. Mam nadzieję, że jego starzy znajomi nie zdołali go jeszcze zmobilizować na jakąś inną imprezę. ,
- Ja też mam taką nadzieję. Chciałabym bardzo przeszkodzić Karolinie w nadmiernym zainteresowaniu się pańską osobą.
- Z pomocą Rodryga, moja droga, odniesie pani niechybne zwycięstwo. Lecz cały kłopot w tym, że o n gotów przeszkodzić pani w godziwym zainteresowaniu się mną...
- W takim wypadku — odrzekła — zostawię panu Karolinę.
- A więc ustalone?
- Ustalone. Zatem do wieczora.
- Rosalie! Niech pani zaczeka! Czy będzie tam jeszcze jakieś towarzystwo?
- Nie wiem. Raczej chyba nie, lecz prawdę mówiąc nie wiem. Karolina zazwyczaj nigdy nie przyjmuje więcej niż cztery czy pięć osób. A razem z pańskim bratem i z panem będzie nas już troje. Czy chce pan, abym do niej zadzwoniła i zapytała ją?

— Ach, nie, nie warto! Przekonamy się na miejscu...

Odczuwam wielką niechęć do ćwiczeń kulturystycznych, ale cóż, nie mam wyboru: moje członki stanowią moje narzędzie pracy. Zresztą Gerard Duranty, który założył dziesięć lat temu Instytut Kulturystyczny Paillon, jest moim przyjacielem. Ma lat sześćdziesiąt lub więcej, jest niski i krępy, i — moim zdaniem — nieco zbyt muskularny (choć przecież jest to jego znak firmowy), za to fantastycznie wprost zakonserwowany.

Ma również wspaniale dobrane asystentki, lecz cóż z tego, skoro każda z nich hołduje przesadnie surowym zasadom moralnym. Gdyby ktoś — rzekomo przez roztargnienie — usiłował choćby poklepać którąś po pośladkach, zainkasowałby takiego kukuśnika, że jego ślady musiałby potem obnosić przez trzy albo i cztery dni.

Rzecz jasna, Gerard ma także własne koncepcje dotyczące diety. Jest pod tym względem niezwykle wymagający. Przestrzegam dość ściśle jego zasad dotyczących pokarmów stałych, natomiast do rozpaczy doprowadzają go napoje, które wlewam w siebie niezwykle zachłannie. Jednakowoż sami chyba rozumiecie, że w mojej sytuacji trudno jest sobie odmówić kieliszka szampana, porto albo whisky. Jeśli się chce być akceptowanym przez bliźnich, należy akceptować nawet ich występki. Lecz pokutuję w ten sposób, że kiedy jestem sam, piję wyłącznie wodę, a ponadto aż trzy razy w tygodniu odbywam intensywny trening pod kierunkiem profesora Duranty'ego. (Tak, tak, od paru lat tytułuje się on „profesorem”. I nie ma się tu czego wstydzic: taka tytułomania nikomu wszak nie szkodzi).

Obiad z René'em C, złożony z wielkiej ilości frutti di mare spożyty na bulwarze Papacino, był rzeczą niezwykle miłą. Znamy się z René'em niemalże od piętnastego roku życia i to właśnie on mnie namówił do sekretnej współpracy przy wielkim reportażu, no cóż., dość pikantnym, o młodych „ludziach do towarzystwa”. Rzecz jasna René,

publikując me zwierzenia, podawał tylko inicjały (w dodatku nieścisle) osób, których one dotyczyły, zmieniając również dane personalne i przybliżone adresy. Toteż z Rosalie zrobiliśmy wdowę po producencie pastisu,, posiadającą przepyszną willę na stokach Cimiez. Ja sam byłem ukazany jako Vittorio, smagłolicy, siódmy z kolei potomek ubogiej rodziny piemonckich chłopów.

Wszystko to razem było niezwykle zabawne.

Wizyta w atelier Paula Salvadora (ani chybi również pseudonim) była już mniej zabawna, za to pełna mentorskich uwag. Pomijam je milczeniem, gdyż bardzo lubię malarstwo, natomiast nie potrafię, o nim mówić.

Okolo siódmej dziesięć byłem z powrotem na ulicy Berlioz. Wypiłem szklaneczkę badoit i wziąłem odświeżającą kąpiel. Potem starannie dobrałem strój. Promenadę des Anglais, dama, której nie znałem, pięć lub sześć osób, fajerwerki... Otóż właśnie to. Wybrałem spodnie w stylu Księcia Walii, w kolorze piaskowym, białą koszulkę polo ze szkockiej wełny, odpowiednio dobrane do niej skarpety i skórzane mokasyny łagodnej kasztanowej barwy.

Za pięć dziesiątą zjawiłem się u Rosalie. Była gotowa i wyglądała wspaniale w swej wąskiej sukience z platynowej lamy, przybranej jakimś wisiorkiem od Pćrota, wykonanym z ciężkiego, masywnego srebra. Narzuciła jeszcze na ramiona biały szal z weneckiej koronki, a potem pocałowała mnie.

— Jest pan wspaniały, Gwennie. Doprawdy, przyniesie mi pan zaszczyt.

— Nie w takim samym stopniu, jak pani mnie. To widać od razu.

— Mnie bardziej na tym zależy niż panu. Idziemy?

— Jestem gotów.

Zamknęła drzwi mieszkania aż na trzy zamki. W windzie zapytała:

— Udało się panu spotkać swego brata?

— Tak. Jest wprost zachwycony, iż może tam przyjść.

Ale zapewne nie pojawi się punktualnie, ponieważ po południu miał mieć seans fotograficzny, który zapewne skończy się dość późno. Wie pani (albo i nie wie), że on pracuje jako model dla wielkiej firmy konfekcyjnej z Merton.

— A zatem wybaczymy mu spóźnienie. W kwadrans później dzwoniliśmy już do drzwi Karoliny. Mówiąc wam o tym nadal jeszcze nie wiem, skąd właściwie Karolina brała na to pieniądze, bo zajmowała przy Promenadzie niezwykle obszerne mieszkanie, usytuowane na piątym piętrze budynku równego wiekiem Palais de la Méditerranée.

Pomieszczenie, w którym nas przyjęła, było wielką salą jadalną, wyposażoną w meble rocznik 1830, z której balkonu roztaczał się widok na morze. Przeszklone drzwi z prawej strony prowadziły do małego saloniku. Po lewej znajdowały się inne drzwi, lecz te były zamknięte na głucho. Z dyskretnie ukrytych głośników płynęły tony *Concerto de l'Empereur*, w znakomitym wykonaniu Artura Schnabla.

Karolina była panią w wieku Rosalie (być może nieco młodszą, ale jak to rozpoznać w dobie rozwiniętej techniki konserwacji fasad?), blondynką o bardzo żywych, turkusowych oczach. Nosiła suknię z niebieskiego atlasu, na której sznur pereł sprawiał wrażenie strzępka piany na fali.

Przedstawiła nam Nicole, swoją przyjaciółkę. Ta z kolei zdawała się być o dziesięć lat od niej młodsza. Miała krótkie jasnokasztanowe włosy i smukłą sylwetkę. Wszystko wskazywało też na to, że musi mieć ciało rozkoszne i delikatne niczym skóra limuzyńskiego jagnięcia. Nosiła bluzkę z białego jedwabiu i obcisłą spódniczkę barwy antracytu, rozciętą na lewym udzie,

Był tam również jakiś czterdziestoletni elegant o oliwkowej cerze. Choć miał dość wyraźny południowoamerykański akcent, kazał się zwracać do siebie per Marcel.

Z początku nie mogłem się połapać, której to z dwóch pań miał on towarzyszyć. Tymczasem podawał aperitify, później zaś okazał się nie lada świntuchem.

Balkon, który byłby zdolny pomieścić dwanaście osób, wychodził na Zatokę Aniołów. Rozpościerał się stamtąd widok od przylądka Antybów aż po przylądek Ferrat. Ponad tym ostatnim można było dostrzec odległe światła włoskiego wybrzeża.

Rodryg przybył w dwadzieścia minut po nas, gdy jeszcze dzierżyliśmy szklaneczki z drinkiem w rękach. Odział się w stylu hiszpańskim: czarne spodnie z szerokim pasem, biała bufiasta koszula i rodzaj ekstrawaganckiego kaftana-bolera, również czarnego, ale z haftowanym srebrem aksamitu, oraz lakierki na czterocentymetrowych obcasach.

Zrobił niesłychane wrażenie na zebranych. Otoczono go, podziwiano, pieszczono, całowano. Pytano nawet, czy nie bał się spacerować po Nicei, gdzie wszak co dwieście metrów ktoś mógłby go usiłować zgwałcić.

Rodryg wybuchnął śmiechem.

— Karate — powiedział.

Gwar przybrał jeszcze na sile. Poproszono go, aby dał jakiś niewielki pokaz swej sztuki. A potem zasiedliśmy do stołu.

Karolina zamówiła u restauratora Paulota wykwintny posiłek na zimno: wątróbki, surówki, homara w sosie bearnieńskim, sery, szarlotkę, schłodzone owoce, a wszystko to zakrapiane mocno wytrawnym heidsieckiem.

Akurat popijaliśmy bezkofeinową kawę, kiedy na zewnątrz rozległo się donośne "fiuuuu!", a potem przeraźliwe „bumm"! To zagrzmiał pierwszy z trzech wystrzałów rozpoczynających fajerwerki.

Rzuciliśmy się więc na balkon robiąc spore zamieszanie.

Rosalie znajdowała się pomiędzy Rodrygiem, po swej lewej stronie, a mną, po prawicy. Obejmowała nas obu w pasie. Ja miałem po prawej stronie Nicole, przyjaciółkę

Karoliny, z którą jak dotąd zamieniłem ledwie kilka słów. Dalej stali Karolina i Marcel.

Pierwsze rakiety — trójkolorowe, tak jak się należy — wyzwołyły głośne "hurrra!" na Promenadzie, zda się tuż pod naszymi stopami. Klaskaliśmy porwani entuzjazmem.

Otoczające nas balkony zapełniły się powoli. Pokaz fajerwerków zapowiadał się wspaniale, eksplozje następowały po sobie błyskawicznie, rozświetlając niebo kolorowymi kaskadami.

Po dziesięciu minutach tych patriotyczno-pirotechnicznych uniesień, tuląc mocno do siebie Rosalie, pogładziłem zarazem po udzie Nicole. Nie poruszyła się. Wzmogłem więc swoje karesy, nie wywołując jednakże żadnego odruchu niechęci. Wsunąłem dłoń w rozcięcie jej spódnicy i wodziłem nią po delikatnym, ciepłym ciele, ażeby w końcu osiągnąć przystań krocza. Delikatnie wędrowałem ku górze. Nicole pochyliła się nieco do przodu, wsparła o balustradę i wykrzyknęła: „Och, jaka piękna czerwona!” A potem wybuchnęła śmiechem i jeszcze szerzej rzbzwarła, cyrkiel, swoich nóg.

Moja dłoń dotarła teraz do majtek, nieco nazbyt obcisłych. Natarłem mocniej i dużym palcem zdołałem uchylić rąbek jedwabiu. Zmacałem wewnątrz i, skonsternowany, przygryzłem wargi. Tkwił tam ani chybi tampon z waty, który z pewnością nie pozwoliłby mi posunąć się dalej.

Popieściłem więc zdawkowo Nicole i wycofałem się.

Nicole pochyliła się do mego ucha:

— Gzy mogę do pana zadzwonić jutro koło południa? — szepnęła.

Skinąłem twierdząco głową.

— Tss! Zaraz!

— Co to za zwierzenia, hultaje? — zapytała Rosalie,

— Tak, to zwierzenia, najdroższa — odparłem. — W rodzaju: Och, jaka piękna niebieska!"

— Och, jaki bezczelny kłamczuch! — zgrzytnęła zębami.

Odwrociłem się w stronę Nicole.

— Widzi pani, Rosalie wyobraża sobie, że wszystkie kobiety od razu rzucają mi się na szyję. Niech jej pani powie, że to nieprawda.

— Naturalnie — odrzekła z lekką ironią. — Jeżeli uważa, że to akurat pańska szyja tak mnie interesuje, Po finalnym bukiecie, który Stanowił prawdziwy majstersztyk pirotechniki, przeszliśmy do jadalni, aby poczęstować się tam kawałkiem szarlotki, brzoskwinią, kieliszkiem szampana lub papierosem. A później znów wróciliśmy na taras.

Przez dłuższy czas pozostaliśmy tam, prawie że w milczeniu kontemplując gwiazdy na niebie, światła statków na morzu i głębie naszych serc.

Po dziesięciu minutach stwierdziłem, że wraz ze mną są tylko trzy kobiety. Owładnięty słusznym podejrzeniem, zawróciłem czym prędzej. W jadalni nie było nikogo. Zerknąłem poprzez szyby małego saloniku. Oczywiście! Wpół leżąc na niskim tapczanie, ta świnka Marcel pozwalał się ssać memu małemu Rodrygowi. Powróciłem więc na taras wołając:

— Chodźcie zobaczyć! Chodźcie zobaczyć! To widowisko na miarę epoki!

Panie przybiegły i stłoczyły się wokół mnie. Lecz tamte dwa świntuchy, jak gdyby nigdy nic, spokojnie kontynuowały swoje duo. Zacząłem poszturchiwać ich nogą. Sękata niebieska żyła znaczyła śniady drąg Latynosa. Karolina i Rosalie zanosily się śmiechem.

— Niech pan ich zostawi — powiedziała do mnie Rosalie. — Dajmy im spokój! Bo czyż nie są milutcy, ci dwaj kochasie?

— "Trzeba przyznać — dorzuciła Karolina — że ten mały tak dziarsko chlasta językiem, że aż prosiłoby się, aby zrobił z niego cokolwiek lepszy użytek!

Nicole pochyliła się nad Rodrygiem:

— Nie zjedz wszystkiego, Rody! Zostaw też trochę dla innych...

Zarzucałem jej potem, iż ten żart był nieco wulgarny.

W tym momencie Marcel sprężył się cały, osiągnąwszy właśnie szczyt rozkoszy. Mój braciszek zaniósł się nagłym kaszlem.

— Połknie? Nie połknie? — zastanawiała się głośno Rosalie. — Założę się o dwa tysiące franków, że wypluje.

— Przyjmuję — zawołałem.

Rodryg zamknął oczy i zacisnął wargi. Udało mu się powstrzymać kaszel. Widać było, jak jego szyja pęcznieje od wielkiego wysiłku, żeby przełknąć. Minęło kilka sekund. A potem ten świński Marcel odprężył się rozkosznie, pochrząkując przy tym jak wieprzek, którym w istocie był.

— Przegrała pani — powiedziałem do Rosalie. — Kiedy mi pani wręczy te dwa tysiące franków? Teraz czy jutro rano?

— Poczekajmy do jutra — odpowiedziała. — To jeszcze nie ostatnia gra. Dokonamy rozrachunku pod koniec wieczoru.

Zwróciłem się do jej dwóch przyjaciółek:

— Ta kobieta przysparza mi fortuny powiedziałem z uśmiechem. — Wygrywam wszystkie zakłady, jakich z nią dokonuję, ponieważ ona wątpi w zdolności mojego brata i 'moje.

Zwróciłem się -do Nicole.

— Czy pani, na przykład, mając dziś miesiączkę, założy się ze inną o tysiąc franków, że zdołam ją uczynić obiektem moich lingwinistycznych zabiegów aż na całe dziesięć minut?

Popatrzyła mi prosto w oczy.

— O tysiąc pięćset — powiedziała.

— No, no! — wtrąciła się Rosalie.

— Jeżeli oczywiście Rosalie się na to zgodzi — dodałem po chwili.

— A skąd pan niby wie, że Nicole ma...

— Intuicja, moja droga.

— Niech będzie. Zgadzam się na to pod warunkiem, że wszyscy będziemy mogli asystować przy tej operacji.

— Pięćset franków od widza — dodałem. Znów zaczęły się śmiać.

— I rozda pan bilety? — zapytała Karolina.

—~ -Zbyteczne. Mam do was zaufanie. Włóżcie banknoty do koszyczka na owoce.

Wykonały zadanie parszając śmiechem niczym pensjonarki.

Rodryg poszedł już do łazienki, aby wypłukać sobie usta. Ten świntuch Marcel wstał, zapiął rozporek i poszedł sobie nalać kieliszek marsali, ponieważ uwielbiał ten obrzydliwy napój.

Kazałem Nicole usiąść na swoim miejscu. Pod jej plecami umieściłem poduszki, aby mogła się na nich wesprzeć.

Rozpiąłem jej spódniczkę i poprosiłem, aby uniosła tyłeczek, tak iżbym mógł jej zdjąć majtki.

Dwie pozostałe kobiety ukłękły z obydwu stron tap-czana. Stanowiło to dość budujący obrazek.

— Poczekajcie — stwierdziła Rosalie — aż dołączy reszta naszych gości. Oni też zapłacili za swoje miejsca.

— Jestem na pani rozkazy, ukochana — odrzekłem. W minutę później powrócił Rodryg, a za nim ta świnia, Marcel. Stanęli obok mnie.

Teraz ja z kolei ukłękłem i zbliżyłem twarz do krocza Nicole. Była nieco zbyt pulchna, ale dość apetyczna. Pod kępką czarniawego runa, pomiędzy różowymi wargami, widniał koniuszek tamponu zaopatrzonego w sznureczek służący do wyjmowania go.

Schwyciłem rzecz zębami i pociągnąłem. Tampon wysunął się delikatnie. Był poplamiony, zwłaszcza z drugiej strony, z tej, którą przylegał do wnętrza. Huśtał się kilka sekund uderzając o mój podbródek. Powstałem i — trzymając wciąż w zębach — poszedłem go złożyć na marmurze komody w stylu Ludwika XV, która królowała pomiędzy dwoma oknami.

Pięć obserwujących mnie osób odwróciło głowy, aby śledzić me ruchy, ale żadna z nich nie wygłosiła najmniejszego komentarza.

Powróciłem na miejsce i przykłęknąłem pomiędzy nogami Nicole.

— Czy ktoś chce mierzyć czas? — zapytałem.

— Ja — odpowiedziała Karolina.

— Dziękuję. Powtarzam warunki zakładu: zobowiązuję się nie szczędzić karesów tej oto damie przez dziesięć minut za tysiąc pięćset franków. Zrozumiałe samo przez się, że jeśli to ona poprosi, abym przerwał, będzie to oznaczało, że przegrała. Nieprawdaż?

— Jeżeli każę panu przerwać przed ustalonym czasem — powiedziała Nicole — wówczas podwoję stawkę.

— A więc uczynię wszystko, co w mojej mocy, ażeby panią do tego sprowokować.

Zbliżyłem się do jej cudownych wrót. Na ich obrzeżach było bardzo mało posoki, zaledwie kilka śladów o lekkim żelazistym posmaku. Ująłem jej drażniulkę w wargi, potem z lekka nadgryzłem, a jeszcze później zagłębiłem język w rozkosznej otchłani. Posmak przybrał na sile. Nacisnąłem głębiej, prąc to w jedną, to znów w drugą stronę, tak jak to wczoraj czyniłem w przypadku Rosalie.

Moja partnerka zda się zeszywniała, a jej oddech stał się znacznie głośniejszy.

Powróciłem do jej drażniulki, długiej i delikatnej. Bawiłem się nią z uporem. Nicole złapała mnie za włosy i zacisnęła nogi wokół szyi. Nie miałem teraz zbyt dużej możliwości manewru. Na szczęście pole mojego działania było dość ograniczone: sprowadzało się do paru cali różowego, uperfumowanego ciała, otaczającego przytulną przepaść, z której sączyła się powoli mieszanina dwóch płynów, jednego ziemskiej, drugiego zaś boskiej proweniencji.

Wcale nie zdawałem sobie sprawy z obecności czte-

rech otaczających mnie osób, których uwaga była skoncentrowana na mnie, a które taktownie w ogóle się nie poruszały. Gdybyñj. się nad tym zastanowił, pomyślałbyñ wręcz, że wstrzymały oddech, ale daleki byłem od podobnych myśli. Całą swą uwagę skupiłem na oddechu, drzeniu, biciu serca damy, która jakże uprzejmie stawiała mi czoło. W gruncie rzeczy nie myślałem już o stawce, którą ona zaryzykowała w tej grze, ale o przyjemności, której chciałem jej dostarczyć.

No i dopiąłem swego: upłynęło zaledwie sześć minut i czterdzieści sekund od momentu, w którym począłem pieścić jej sekretne czeluści (Karolina wyliczyła później w szczegółach rozmaite momenty seansu), kiedy Nicole zaczęła pojękiwać. Natarłem jeszcze mocniej. Pociągnęła mnie za włosy, czyniąc to tak spazmatycznie, że omal nie zwarłem szczęk. Ale ciągnąłem dalej. Dyszała ciężko. Ja — nadal zmierzałem do celu. Dygotała febrycznie, lecz wściekle parłem naprzód. I wówczas zaniósła się krzykiem.

Nie ustawałem. A ona, wygiąwszy się nagle w łuk, odsłaniając wszelkie ponęty swego skarbcza, legła na wznak z zamkniętymi oczyma, nie mogąc złapać tchu.

— Mam przestać? — szepnąłem, nie opuszczając do reszty jej sezamu.

Skinęła p*otakującą głową. Toteż podniosłem się z klęczek. W ustach miałem jeszcze smak posoki. Rosalie podeszła do mnie, wyciągnęła z rękawa jedwabną chusteczkę i otarła mi podbródek.

— Był pan znakomity, mój drogi — powiedziała do mnie. — Prawdziwy fajerwerk chuci!

— Dziękuję. Wiedziałem, że pani potrafi tę docenić. A teraz napiłbym się chętnie jakiegoś J&B. Z wodą sodową i kostkami lodu.

— Ja się tym zajmę — powiedział Rodryg. — To prawda, stary, byłeś znakomity. Czy pokażesz mi któregoś dnia, jak ty to robisz?

— Ona pani nigdy nie zdoła zastąpić — powiedziałem w zadumie. — Bo nikt pani nigdy zastąpić nie zdoła, Rosalie. Pokiwała głową. — Wierzę panu. Tak, wierzę. Postawiła swą szklaneczkę na stole i sięgnęła po torebkę.

— A teraz — powiedziała — będę zmuszona już pójść. Bo w przeciwnym razie gotowa bym się rozpłakać.

Powoli skierowała się ku drzwiom. — Oczywiście — dodała — może pan tutaj pozostać tak długo, jak długo będzie to panu odpowiadać.

— To zbyt cenne — odrzekłem. — Wie pani przecież, że mam swój własny dom. A zatem jutro zwrócę pani klucze.

— Więc niech pan odczeka do wtorku. Pozostawi je pan dozorczyńni. Nie, niech pan mnie nie całuje, bo nie zdołam stąd odejść.

Otworzyła drzwi na korytarz.

— Niech pan do mnie zadzwoni za dwa tygodnie, Gwen. Będę szczęśliwa mając od pana jakieś wiadomości.

— Niech mnie pani nie opuszcza, Rosalie — szepnąłem. — Sprawia mi pani wielki smutek.

— Żegnaj, mój ukochany. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Nie otworzyłem ich. Usłyszałem odgłos jadącej w górę windy, która zatrzymała się, a potem ruszyła znów w dół.

Wybiegłem na taras i przechyliłem się przez balustradę.

Zobaczyłem, jak Rosalie przekracza próg domu, waha się przez kilka sekund stojąc w pełnym słońcu, a potem jak schodzi ulicą w kierunku Promenady.

Jej krok był zwinny i pewny, ale wydawało mi się, że jej ramiona zwisały teraz bardziej bezwładnie niż zwykle.

Westchnąłem.

— Mimo -wszystko te powieściopisarki...

Tego samego wieczoru Nicole zaprosiła mnie na kolację.

13

W sobotę, czternastego, w żaden sposób nie mogłem spotkać się z Rosalie. Nie mogłem jej także nigdzie złapać telefonicznie. Nie zdziwiło mnie to specjalnie: w końcu nie informowała mnie z dnia na dzień o swym rozkładzie zajęć. A mimo wszystko, położywszy się wieczorem do łóżka, poczęłem sobie zadawać rozliczne pytania. Mogłem wprawdzie zadzwonić do Ginette czy Karoliny, które były jej najbliższymi przyjaciółkami. W ostatniej jednak chwili, chyba za sprawą czegoś w rodzaju przesądu, nie ośmieliłem się.

Odpowiedź przyszła nazajutrz rano, w postaci kartki pocztowej przedstawiającej korzeń o dziwnie poskręcanych kształtach, znaleziony gdzieś w Dolinie Cudów. Kartkę znalazłem pod drzwiami. Zachodziłem w głowę, w jaki sposób tu trafiła. Na części przeznaczony na korespondencję przeczytałem:

„Drogi Gwennie, myślę, że lepiej będzie, jeśli pozostanie pan owym prawdziwym i niezrównanym przyjacielem, jakim potrafi pan być, ale już nie partnerem snów i marzeń, pokrętnych niczym ten nieszczęsny korzeń.

Serdeczności Rosalie.”

Przez moment stałem jak przygwożdżony. A wszystko za sprawą tej jednej kartki, którą odczytywałem wie-

le razy, nie pojmując w ogóle jej treści. Cóż takiego się stało?

Próbowałem zadzwonić do Karoliny, ale nie było jej. w domu. Wykręciłem więc numer Ginette, lecz już po pierwszym sygnale odłożyłem słuchawkę. Spotkałem ją zaledwie raz w życiu, trzy tygodnie temu: nic więc riie wykazywało na to, aby Rosalie zwierzała się jej, a jeszcze mniej na to, iżby Ginette miała mi donosić o jej zwierzeniach.

Około jedenastej zadzwonił telefon. Pospiesznie złapałem słuchawkę.

— Gwen?

Rozpoznałem jej głos.

— Rosalie? Co się z panią dzieje?

— Otrzymał pan moją kartkę?

— Tak. I nawet przeczytałem ją aż trzy razy. Ale nie jestem pewien, czy dobrze pojąłem.

— Chciałabym z panem porozmawiać. Gwen. Czy mogę przyjść do pana?

— Czekam niecierpliwie.

— A więc do zobaczenia.

Wziąłem czym prędzej prysznic, skropiłem się „Gwen Rater” i założyłem czystą koszulę.

Byłem bardziej niż zdumiony. Prawdę mówiąc: niespokojny. Rosalie nie była kobietą zdolną snuć opowieści o stanach swej duszy. Jeśli miała życzenie zwierzyć mi się z czegoś, musiała mieć po temu poważne powody.

Gdy zadzwoniła do drzwi, byłem już gotów. Miałem nawet dość czasu, aby wyciągnąć kieliszki, butelki i wiaderko z lodem.

Weszła, położyła torebkę na stole, podeszła aż do oszklonych drzwi balkonowych i zwróciła się do mnie.

— Drogi Gwenie — powiedziała. — Musimy się rozstać.

Choć mogłem się tego spodziewać, stanowiło to dla mnie szok.

Przybrałem minę rozzłoszczonego psa, którego odsyła się do budy.

— Nie jest już pani zadowolona z moich usług? Pokiwała smutnie głową.

— Wręcz przeciwnie, mój przyjacielu. Aż nadto zadowolona.

— Nie rozumiem — odrzekłem, nieco zbity z tropu.

— Ależ tak, jestem pewna, że mnie pan rozumie.

. Nie odpowiedziałem i odwróciłem się w stronę kredensu.

— Mały martini-gin, Rosalie?

. — Ale z bardzo małą ilością ginu. — Jak zwykle.

Zrobiłem mieszankę i przyniosłem jej szklaneczkę.

— Nie chcę nabierać przyzwyczajęń, drogi Gwennie. Powiedziałam panu, gdy tylko się spotkaliśmy. Wówczas nie zdawało się to wcale pana razić.

Przyrządziłem sobie J&B wzbogacony perrierem. Dorzuciłem kostkę lodu i spojrzałem na Rosalie.

— Wcale mnie nic nie razi, moja ukochana: Po prostu mnie smuci.

— Wiem o tym. Choć nie. Raczej: spodziewam się tego. — Naprawdę?

— Wolę pana opuścić myśląc, że panu na mnie choć trochę zależy.

Postawiłem szklaneczkę, zbliżyłem się do niej i ująłem ją za ramiona.

— Ale dlaczego, Rosalie? Dlaczego? Co się stało?

— Nic specjalnie nowego. Tyle, że w piątek wieczorem zdołałam coś odkryć.

Delikatnie wyjawiała mi prawdę.

— Odkryłam, że już nie odbieram pana w ten sam sposób, co kiedyś. Nie jest już pan dla mnie jedynie czarującym i rozkosznym przedmiotem. Stał się pan kimś.

— Dziękuję.

Uśmiechnąłem się z lekka.

— Niech pan nie kpi sobie ze mnie, Gwen. Odkryłam, że już wkrótce nie będę mogła znieść tego, że obłapia pan się z innymi prócz mnie. Podobnie jak nie zdołam znieść myśli, że może pan to robić wówczas, gdy ja pana nie widzę.

— Zazdrosna?

— W pewnym sensie. Czy pojmuje pan, co to znaczy?

— Tak. Bo i ja na coś podobnego zapadłam.

— Nie mam ochoty być nieszczęśliwa. Nie mam już tyle czasu, by wikłać się w nieszczęścia. Jeżeli będę pana nadal widywać, będzie to dla mnie oznaczać chyba utratę"" życia.

— Jeśli nie będę mógł widywać się z panią, to w ogóle zaprzestanę robić tamte rzeczy.

— Kłamczuch!

— Dlaczego tak pani uważa, Rosalie? Musiałem mieć widocznie szczerze zasmuconą minę, bo podjęła:

— Przepraszam; Cofam słowo. W każdym razie nie chcę pana wtrącać w odmęty rozpacz,

— Jestem pani za to niebywale wdzięczny — odrzekłam rozzłoszczony.

Przełknęła łyk swego wonnego świństwa.

— Wczoraj wieczorem dzwoniłam do Nicole. Pamięta pan? To ta przyjaciółka Karoliny, której zgotował pan taką rozkoszną historię w piątek w nocy. Prawdziwy fajerwerk...

^v — Mimo wszystko, moja droga, to właśnie pani była reżyserem tego przedstawienia.

— Przyznaję, że tak. Przynajmniej częściowo. I tamtego wieczoru wszystko wskazywało na to, że jest panem po prostu oczarowana. Czyż nie? Podzieliłam się z nią" swymi wątpliwościami. I oto jest gotowa zająć się panem.

— Jak to pani rozumie?

— Tak jak to ona sama zrozumiała.

Kostka lodu pobrzękiwała w mojej szklance niczym pęknięty dzwoneczek.

— Załatwione — odrzekłem. — Ale tym razem z Rosalie jako partnerką.

I dodałem:

— Jeśli ona zechce...

Nie powiedziała ani tak, ani nie.

W koszyczku na owoce znajdowały się cztery banknoty pięciusetfrankowe. A więc te zacne damy zapłaciły również za Rodryga, co było z ich strony bardzo sympatyczne.